W numerze: Konrad Bielski — Tajemnica kawiarni „U aktorów" WYROK

CENA 2 ZŁ

Kamena

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 19.I.1969 Nr 2 (409) R. XXXVI DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

Z Księżyca na Ziemię

Marek Adam Jaworski

24 GRUDNIA 1968. Już po tradycyjnym barszczu z uszkami i smażonym karpiu. Właśnie przed chwilą radio nadało komunikat. Trójka amerykańskich kosmonautów: płk Frank Borman, kpt. James Lovell i mjr William Anders kontynuuje swój lot wokół Księżyca. Wszystko przebiega zgodnie z planem.

— To jest nadzwyczajne — mówi moja matka. Te same słowa padły zapewne z jej ust przed 41 laty, gdy Charles Lindbergh pierwszy w świecie dokonał samotnego przelotu przez Atlantyk.

Wracam do lektury. Wśród książek, ukrytych w głębi bibliotecznej szafy, znalazłem właśnie jedną, która teraz zainteresowała mnie szczególnie. Jest to „Podróż w czasie i przestrzeni" pióra sir Jamesa Jeansa wydana w 1936 r. Tytuł jednego rozdziału brzmi „Księżyc".

Dzieło Jeansa przeglądałem już w dzieciństwie, kiedy moją ulubioną lekturą były fantastyczne powieści Wellsa. Jeans snuł horoskopy lotu na Księżyc:

Nasza rakieta musi być wystrzelona z wielką prędkością — co najmniej 6,93 mil na sekundę (11 km/sek) — gdyby bowiem wystartowała z jakąkolwiek mniejszą prędkością, spadłaby tylko z powrotem na Ziemię, podobnie jak pocisk zwyczajnej armaty. Gdyby prędkość początkowa wynosiła dokładnie 11 km/sek, to byłoby to w sam raz na wykręcenie się spod działania przyciągania grawitacyjnego ziemskiego, ale potem rakieta nie miałaby już wystarczającej prędkości, aby nieść nas dalej. Należy więc ją wyrzucić z prędkością większą, np. 7 mil na sekundę (11,2 km/sek); wtedy po wyzwoleniu się z działania przyciągania ziemskiego pozostanie jeszcze prędkość 1 mili na sekundę (1,6 km/sek), co pozwoli nam dojechać do Księżyca w czasie nieco dłuższym niż 2 dni...

Takie były rozważania teoretyczne, a jak wygląda praktyka?

Potężna rakieta nośna Saturn 5 o sile ciągu 7 500 000 funtów wzniosła statek na wysokość 38 mil z szybkością 6 000 mil na godzinę. Po wzniesieniu się na tę wysokość (w ciągu 2,5 minuty) statku o długości 363 stóp i o wadze 3 100 ton wielka rakieta nośna odpadła i włączone zostały silniki drugiego członu pocisku — S-2. Ten drugi człon rakiety miał pięć silników o łącznej sile ciągu 1 125 000 funtów. Wzniósł on statek na wysokość 119 mil z szybkością 14 000 mil na godzinę. Po spełnieniu tego zadania człon S-2 również odpadł i uruchomiono silniki trzeciego członu S-4B o sile ciągu 225 000 funtów. Szybkość statku wzrosła wówczas do 17 400 mil na godzinę i został on wprowadzony na okołoziemską orbitę „parkingową". Teraz kosmonauci i personel naziemnych ośrodków kontrolnych sprawdzili działanie urządzeń i zespołów znajdujących się na pokładzie. Okazało się, że wszystko jest w porządku. W czasie drugiego okrążenia Ziemi załoga „Apollo-8" uruchomiła więc ponownie silniki rakiety S-4B. Pracowały one przez 5 minut i 17 sekund, co sprawiło, że statek uzyskał prędkość 24 200 mil na godzinę i „wyrwał" się z orbity „parkingowej" w kierunku Księżyca.

W myślach usiłuję przeliczyć: mile na kilometry, funty na kilogramy. W encyklopedii znajduję:

Dokończenie ze str. 4

Fot. Czesław Łuniewicz

CZY TO TEN SAM ŻYRZYN?

Tadeusz Lutogniewski

JEST w tym coś szczególnie wzruszającego. Aż chwyta za gardło. Po dwudziestu kilku latach idę przez długą wieś — ulicówkę, w której podczas okupacji prowadziłem tajne komplety gimnazjalne. Co tydzień w innej chacie, w domu rodziców jednego spośród uczniów odbywały się te lekcje — historii, polskiego, łaciny — przerywane nieraz tak jak ta u Zbyszka Łopatka. Padał deszcz, nagle któryś z uczniów zauważył, że pod oknami od strony drogi stoją żandarmi. Więc wszyscy książki i zeszyty pod pachę i drzwiami wychodzącymi na podwórko — w nogi, przez płoty na pola, w stronę lasu. Okazało się później, że alarm był fałszywy. Patrol żandarmów zatrzymał się pod okapem domu przypadkowo, tylko po to, by się schronić przed deszczem. Jedna z uczennic wróciła do Łopatków z prośbą o kule Mariana Gronerta. Ułomny chłopak chodził stale o kulach. W chwili alarmu zapomniał o nich i uciekając przekaraskał się nawet przez płot. Kiedy się opamiętał, bez kul nie mógł iść dalej...

Idę więc przez wieś, którą znam tak dobrze. Ale czy znam rzeczywiście? Czy to ten sam Żyrzyn? Przecież prawie każda chata była tu wtedy kryta słomą. Teraz już niemal wszystkie pod blachą lub eternitem. Zamiast walących się drewnianych płotów — ujednolicone metalowe parkany, różniące się tylko kolorem lakieru i wzorami tworzonymi przez siatki lub żelazne pręty. Wzdłuż chodników — wysadzone kwiatami, wypielęgnowane rabaty. Czystość aż uderzająca. Gdyby w każdym mieście był taki porządek...

Dochodzę do zabytkowego, klasycystycznego kościoła. Pamiętam, że naprzeciw stała drewniana, jednoizbowa szkoła. Nie ma jej. Widzę zaś okazały, obficie oszklony, jasny i obszerny budynek ośmiolatki, otwartej — jak się dowiaduję później — w zeszłym roku m. in. dzięki pomocy kopalni „Ziemowit", która latem urządza tu kolonie dla dzieci swoich pracowników. W szkole — tzw. klasopracownie, gabinety przedmiotowe, sala gimnastyczna, warunki pełnego komfortu. Obok budynku szkolnego — równie współczesny, także piętrowy, dom nauczycieli.

Zaglądam do wojennych przyjaciół. Przede wszystkim do Stanisława Drapały. Podczas wojny był ogrodnikiem w posiadłości miejscowych ziemian. Mieszkał w przybudówce do dworskiej oranżerii. Teraz wybudował sobie własny dom na działce otrzymanej z reformy rolnej. W sąsiedztwie dom Zygmunta Zaleskiego, który wtedy również pracował w dworskim ogrodzie i także był najemnikiem, obecnie zaś gospodarzy na własnej ziemi.

Takich domów, których tu dawniej nie było, w całym Żyrzynie mnóstwo.

Dokończenie na str. 4

Herbaciana edukacja

Wiesław Wodecki

NAPIJEMY się herbatki! Nasiąkłem herbatą w cieniu meczetów Buchary i Samarkandy, w czajhanach Duszambe, w pasterskich kołchozach Kara Kum. Nasiąkłem jak gąbka. Siadywałem po turecku na wzorzystych dywanach rozłożonych na niskich ławach, szerokich jak cztery tapczany, w towarzystwie dostojnych starców o długich, białych brodach proroków i grzecznie piłem zielony czaj. Miejscowym zwyczajem kładłem prawą dłoń na sercu, kłaniałem się i mówiłem jedyne słowo, które przyswoiłem sobie z języka tadżyckiego: rachmat! Dziękuję! Starcy nalewali mi nową porcję.

Piłem i w duchu kłóciłem się z Mahometem. Cóżeś uczynił najlepszego, Proroku, skreślając wino z karty trunków swych wiernych? Do dziś w krajach, gdzie panował islam, winogrona służą głównie do produkcji rodzynek. Nawet w radzieckiej Azji Środkowej.

Ale tu jest Gruzja. Rodzynek nie uświadczysz na kołchozowych rynkach, a na starych ikonach i rzeźbach, liczących sobie po tysiąc pięćset lat i więcej, winna latorośl jest stale powtarzającym się elementem zdobniczym. Posługując się porzekadłem ulubieńców Piotra I — huzarów lejbgwardii, powiedziałem setencjonalnie: czaj nie wódka, mnogo nie wypiiesz. Wołodia zmarszczył czoło.

— Niedoedukowany jesteś. Bardziej popularne jest u nas przysłowie: czaju nie wypijosz, sił nie nabieriosz!

Siedzimy w przedziale pociągu Tbilisi-Batumi. Wołodia pogadał z konduktorem wagonu i teraz rozkłada przede mną mapę Gruzji. Czarnymi punktami zaznaczone są na niej plantacje herbaty. Ciągną się wzdłuż wybrzeża Morza Czarnego od Gagry do Batumi. Gęsto obsiadły dolny rejon rzeki Inguri w pobliżu Hobi i Zugdidi, wspinają się w górę rzeki Rioni aż do Kutaisi. Najwięcej ich jednak w południowo-zachodniej części kraju, w okolicach Macharadze i Batumi.

Wchodzi konduktor.

— Czaj pażałsta.

— W XIX wieku — mówi Wołodia — Rosja sprowadzała herbatę z Chin. Karawany szły przez Kiachtę długą i narażone były na wiele niebezpieczeństw, ale to się opłacało, bo herbata w podróży stawała się mocniejsza, nabierała aromatu i delikatnego smaku. Powiadają, że w drodze trzeci gatunek zmieniał się w pierwszy. Dlatego też „karawanowa" herbata, choć droga, była smaczniejsza od tej, która sprowadzano do Europy zachodniej żaglowcami. Ta ostatnia traciła aromat wskutek zawilgocenia w czasie podróży przez tropikalne morza.

Wynalezienie parowców nie na wiele się zdało. Kapitan Czop z „Kolchidy" powiada, że „herbata wciąga zapachy jak bibuła atrament". Na parowcach też traciła aromat.

Wszystko to nie zmienia faktu, że „wagonowa" herbata nie przypomina ani „karawanowej" ani „morskiej". Jest bez zapachu, przesłodzona, metna i mdła.

— Gdzie nietyzm dla herbaty? — pytam Wołodię, wskazując z niesmakiem na szklankę płynu, którego nie jestem w stanie wypić.

— Masz rację. — Ściąga z półki walizeczkę, wyjmuje małą paczuszkę i ważąc ją na dłoni powiada:

Dokończenie na str. 6

teatrnn.pl

Kultura 1969

Literatura

◆ „Czytelnik" wyda w tym roku „Przygody człowieka myślącego" Marii Dąbrowskiej. Mimo opublikowania różnych fragmentów autorka nie zdążyła nadać swojemu dziełu ostatecznej formy. Ukaże się ono w opracowaniu Ewy Korzeniewskiej ze wstępem Anny Kowalskiej.

◆ Powieść Kornela Filipowicza „Ogród pana Nietschke" — rzecz o esesmanie, który po wojnie prowadzi spokojne życie — okazała się w ub. roku największym sukcesem książki polskiej na obcych rynkach. Tłumaczono ją na język bułgarski, czeski, niemiecki, serbo-chorwacki, serbo-łużycki i węgierski. Powieść St. Lema „Niezwyciężony" ukazała się w Bułgarii, Japonii i NRD.

◆ W Krakowie odbędzie się jesienią 1969 r. sesja naukowa Instytutu Badań Literackich PAN poświęcona Wyspiańskiemu. Muzea w Warszawie, Krakowie i innych miastach wystąpią z szeregiem wystaw dokumentujących wszystkie dziedziny twórczości artystycznej i działalności społecznej wielkiego twórcy, głęboko zaangażowanego w sprawy polskie, gorącego patrioty i humanisty-moralisty.

◆ W plebiscycie „Kuriera Polskiego" za najlepszą powieść grudnia uznano „Gorącą noc" Ryszarda Frelka, wydaną przez MON.

◆ W nakładzie 30 tys. egz. ukazał się w Rydze tom opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza w tłumaczeniu Rity Ługinskiej.

◆ Na rozdaniu nagród Nobla pisarz japoński, Yasunari Kawabata, pojawił się w tradycyjnym stroju japońskim. Jak oświadczył, pisze on nową książkę, która ukaże się za dwa lata. Jego powieść „Kraina śniegu" ma być przeniesiona na ekran przez reżysera szwedzkiego Arne Mattsona.

◆ Poetka amerykańska Marianna Moore otrzymała tzw. narodowy medal literatury. Medalowi towarzyszy czek na 5 tys. dolarów.

◆ Na zakończenie roku w Barcelonie rozdzielono 13 nagród wśród pisarzy katalońskich. Główną nagrodę za powieść otrzymała Maria Aurelia Capmany za „Un lloc entre els morts" („Miejsce wśród zmarłych").

◆ W maju ukaże się nowa powieść Włodzimierza Nabokowa — „Ada albo namiętność". Ta nowa powieść autora głośnej „Lolity" ma być natychmiast zekranizowana w Hollywood.

Teatr

◆ 1 stycznia znakomita aktorka Mieczysława Ćwiklińska rozpoczęła 50 rok życia. W lutym spodziewany jest tysięczny spektakl „Drzewa umierają stojąc" Casony. Artystka przygotowuje nową rolę — 106-letniej babki w wesołej komedii francuskiej.

◆ Warszawski Teatr Współczesny wystawił w reżyserii Jerzego Kreczmara sztukę Fredry „Wielki człowiek do małych interesów" z Cz. Wołłejką w roli głównej.

◆ Gorzowski Teatr im. Osterwy wystąpił z prapremierą „Procesu". Jest to wybór dokumentów z politycznego procesu komunistów przed wojną, tzw. procesu świętojurskiego z 1922 r., uzupełniony retrospekcją z lat poprzednich. Całość przygotowała Bożena Winnicka, reżyserował Jan Bleszyński.

◆ W marcu zostanie otwarty w stolicy NRD kolejny teatr — „Volksbuehne" pod dyrekcją Benno Bessona. Po „Berliner Ensemble", „Komische Oper" i Deutsches Theater" będzie to czwarta scena w Berlinie.

◆ Z nowym sezonem w Hamburgu zmieniono 25 dyrektorów różnych scen i scenek. Największą klapą okazała się nominacja Egona Monka na dyrektora opery.

◆ Na kilku scenach szkolnych w Szwajcarii wystąpiła 11-letnia Liza Todd-Taylor, córka Elizabeth Taylor. Panienka twierdzi, że to wprawki szkolne i że nie zamierza być aktorką. Ano zobaczymy.

Muzyka

◆ Filharmonia Wrocławska otrzymała nowy gmach z salą na 500 miejsc i obszernym zapleczem. W koncercie inauguracyjnym wystąpiła Halina Czerny-Stefańska, a także tenor Andrzej Bachleda.

◆ Teatr Muzyczny w Gdyni z okazji dziesięciolecia wystawił prapremierę polskiego musicalu Ryszarda Damrosza „Madagaskar".

◆ Na Węgrzech wydano album płyt, poświęconych Bartokowi. Sensację wzbudziło opublikowanie nie znanego poematu symfonicznego „Kossuth", który powstał w 1903 r.

◆ Florencki „Maj muzyczny" odbędzie się w dniach 20—30 czerwca. Główna nagroda 1,5 mln lirów oraz szereg nagród rzeczowych.

◆ Na jednej ze scen wschodniego Londynu zostanie wystawiony musical „On i ona". Jak twierdzi autor jest to „musical małżeński", w którym występują tylko dwie osoby — mąż i żona.

Sztuka

◆ BWA w Zielonej Górze zorganizowało studium wiedzy o sztuce. W ciągu ub. r. zielonogórskie BWA zorganizowało w klubach województwa 50 wystaw malarskich połączonych z prelekcjami popularyzatorskimi.

◆ Tomasz Jura z Katowic i Tomasz Żołnierkiewicz z Warszawy zostali ex aequo laureatami nagrody WAG, ufundowanej przez Zarząd Główny RSW „Prasa" dla młodych plastyków za najlepszy plakat polityczny roku.

◆ Jamajka zwróciła się o pomoc finansową oraz naukową do UNESCO celem ratowania zabytków — chodzi głównie o zatopione miasto Port-Royal oraz dwie korwety spoczywające na dnie morza, które podobno są statkami z flotylli Kolumba.

◆ W moskiewskim Muzeum Puszkina otwarto wystawę malarstwa francuskiego z początków XIX w. Obejmuje ona 107 obrazów. W tych dniach zostanie ona przeniesiona do Leningradu.

◆ Picasso jest niespożyty. W paryskiej galerii Louise Leiris otwarto wystawę jego rysunków, które powstały w roku ub. od marca do października — razem 247 dzieł, rysowanych i malowanych różną techniką. Część krytyków zarzuca jednak artyście, że coraz bardziej lubuje się w eksponowaniu intymnych szczegółów anatomii kobiecej.

◆ W 49 roku życia Paul Skelbye, architekt, urodzony w Danii a żyjący w Szwecji, porzucił dotychczasowy zawód i zaczął malować, urządzając liczne wystawy. O jego futurystycznych zainteresowaniach świadczą tytuły obrazów, np. „Gmach ministerstwa komunikacji kosmicznej".

◆ Z 10-miesięcznym opóźnieniem obchodzono w księstwie Monaco z wielką galą dwusetną rocznicę urodzin Franciszka Bosio, uważanego za narodowego rzeźbiarza. Właściwie przez cały czas pracował on we Francji, ale urodził się w Monaco.

Archeologia

◆ Pod przewodnictwem rektora Uniwersytetu Łódzkiego prof. dr A. Nadolskiego ma wyjechać nad Zatokę Gwinejską ekspedycja archeologiczna, złożona z 5 studentów UŁ.

◆ W kilku punktach Wiślicy natrafiono na resztki murów obronnych z wczesnego średniowiecza, a także ruiny kościoła i cmentarzysko z XII w.

◆ Znalezienie tabliczek glinianych pokrytych hieroglifami w Siedmiogrodzie, to wypadek unikalny. Takich znalezisk nie notowano dotychczas w Europie. Znane nam tabliczki z okresu kultury egejskiej zawierały pismo linearne. Odkryte tabliczki siedmiogrodzkie datowane są przez archeologów na trzecie tysiąclecie przed n.e.

◆ W Arsenale u stóp Góry Gedymina w Wilnie otwarto nowe muzeum historyczno-etnograficzne Litewskiej SRR, zawierające bogate zbiory zabytków i pamiątek — od czasów najdawniejszych po wiek XX. Placówka ta jest kontynuacją założonego w 1855 r. Muzeum Starożytności, w utworzenie którego szczególny wkład wnieśli zasłużeni badacze z Polski, Litwy i Białorusi — Eustachy i Konstanty Tyszkiewiczowie, Teodor Narbutt i Adam Honory Kirkor. Na udostępnioną obecnie kolekcję składa się materiał archeologiczny, historyczny i etnograficzny. Szczególną uwagę zwraca dział historyczny zawierający liczne polonica. Są tu m. in. pamiątki pierwocin Akademii Wileńskiej: toga wręczona pierwszemu jej rektorowi Piotrowi Skardze przez Stefana Batorego, portrety oraz podręczniki i rozprawy.

Różne

◆ „Mazowsze" wystąpiło ostatnio w Moskwie, Leningradzie, Wilnie i Kownie. Na 9 koncertach było 40 tys. widzów.

◆ Czwarty z kolei pomnik Marii Konopnickiej stanie w połowie roku w Kaliszu (dwa są w Warszawie i jeden w Suwałkach). Jesienią ma się ukazać praca zbiorowa „Konopnicka a współczesny jej świat literacki".

◆ Organ związku dziennikarzy radzieckich „Żurnalist" napisał m. in.: „Kamera telewizyjna powinna być środkiem penetracji życia, a nie tylko technicznym środkiem do zarejestrowania pisanych deklaracji".

◆ Od 21 marca telewizja węgierska rozpoczyna nadawanie próbnych programów kolorowych. Od przyszłego roku program kolorowy będzie nadawany normalnie dla całego kraju.

◆ Dni Wenecji są policzone — alarmuje inż. Eugenio Miozzi, przewodniczący stowarzyszenia kulturalnego „Venezia serenissima". W ciągu ostatniego stulecia wskutek zapadania się gruntu wieża św. Marka obniżyła się o 14 cm, hotel Danieli o 15 cm itd. Jeżeli niszczące działanie wody nie zostanie powstrzymane, za 100 lat miasto zapadnie się — twierdzi inż. Miozzi.

Film

◆ Z okazji XXV-lecia PRL w każdej miejscowości, posiadającej przynajmniej jedno kino stałe, zorganizowany zostanie w ciągu tego roku przegląd dorobku naszej kinematografii.

◆ Z bardzo gorącym przyjęciem we Włoszech spotkał się polski film „Westerplatte" St. Różewicza, wyświetlany tam pod tytułem „Wehrmacht godzina zero". Prasa włoska przypomniała, że główny bohater filmu mjr Sucharski walczył i zmarł we Włoszech i że jest pochowany na cmentarzu żołnierskim w Casamassima koło Bari.

◆ Polański z kolei ma nakręcić western. Bohaterem filmu ma być rodzina Donnerów, która zamierzała dotrzeć do wybrzeży Pacyfiku, ale utknęła w górach Sierra Nevada.

Judy Geeson należała do tzw. złotej młodzieży angielskiej. I trzy lata upłynęły, zanim stała się wschodzącą gwiazdką ekranów brytyjskich. Reżyserzy twierdzą, że jest mieszaniną inteligencji, dynamizmu i seksu.

Kamena str. 2

Notes „Kameny" Józef Barecki

„Będzie wielki byznes..."

PISAŁEM kiedyś na tym miejscu o grupie amerykańskich uczonych, która otrzymała od prezydenta Kennedy'ego zadanie udzielenia odpowiedzi, czy Stany Zjednoczone mogą być zainteresowane w zlikwidowaniu wojen i utrzymaniu pokoju. W skład zespołu weszło dwunastu ludzi o najwyższych kwalifikacjach intelektualnych. W wyniku dwuletnich badań zespół doszedł do wniosku, że dla Stanów Zjednoczonych pokój jest niepożądany. Bez kredytów wojennych nie byłoby odkryć naukowych, postępu technicznego, nowych artykułów konsumpcyjnych, powstających w konsekwencji wynalazków dokonywanych dla armii. Bez wydatków na cele wojenne nie byłoby wysokich płac dla milionów Amerykanów, a tysiące inżynierów i naukowców skazanych byłoby na bezrobocie. Bez zbrojeń upadłyby całe gałęzie przemysłowe, regiony kraju, miasta. Zbrojenia są Ameryce potrzebne, ponieważ pozwalają utrzymać ład społeczny. Podstawowym walorem wydatków na cele wojenne jest to, że uzyskana dzięki nim produkcja wymyka się całkowicie spod prawa podaży i popytu. Bajońskie sumy, łożone na zbrojenia i wojny stanowią więc pewnego rodzaju amortyzator, który zapewnia gospodarce amerykańskiej równowagę, są klapą bezpieczeństwa, przy której pomocy można regulować koniunkturę. *Wojna* — stwierdzili autorzy — *jest nie tylko konsekwencją naszego systemu społecznego, ale stanowi jego przyczynę, jego podstawę.*

Niepowodzenie amerykańskiej agresji w Wietnamie zmusiło Stany Zjednoczone do rokowań i szukania jakiegoś znośnego odwrotu z tego kraju. Nie oznacza to jednak, że pokój stanął już za najbliższym rogiem. W Wietnamie trwa nadal straszliwa wojna, rokowania nad jej zakończeniem mogą toczyć się jeszcze wiele lat. A jednak widmo pokoju już zaczęło straszyć amerykański przemysł. W Stanach Zjednoczonych padają pytania: Co będzie po Wietnamie? Czy przemysł zbrojeniowy zostanie zmuszony do pracy pokojowej? Czy ogromne środki przeznaczane dotąd na cele wojenne użyte zostaną do rozwiązania palących problemów socjalnych?

Nie łudźmy się, nikt nie odpowiada na te pytania twierdząco. „Po Wietnamie" nic się w USA nie powino zmienić. Nic się n i e m o ż e zmienić. Jak pisze „Washington Post" (8 grudnia 68) wielcy przemysłowcy amerykańscy nie przewidują żadnego zwolnienia tempa zbrojeń, żadnej pauzy w produkcji śmiercionośnych broni, żadnego przestawienia gospodarki.

Wielcy dostawcy wojskowi — pisze gazeta — *nie widzą potrzeby uganiania się za handlowymi chimerami (cywilnymi); liczą na większe i lepsze transakcje wojskowe po zakończeniu wojny wietnamskiej i w tym kierunku sporządzają plany.*

Właśnie, plany. W przygotowaniu odpowiedniej atmosfery na okres „po Wietnamie" decydującą rolę odgrywają plany, sporządzane w sposób bardzo ciekawy. Poszczególne firmy zbrojeniowe poświęcają pokaźne sumy na opracowywanie różnego rodzaju prognoz rozwoju sytuacji międzynarodowej. Zaprzęgają do tej pracy nie tylko speców, zaprawionych w wojnie psychologicznej, ale coraz częściej maszyny liczące, owe modne komputery, które przepowiadają przyszłość, najczęściej według życzeń ich właścicieli. I tak „Electronics Industries Association" opublikował raport sporządzony przez swoją stajnię komputerów, który stwierdza, że w najbliższym dziesięcioleciu nie zostanie przyjęty układ o kontroli zbrojeń, a możliwość wojen ograniczonych wzrośnie. Konkluzja: *Firmy elektroniczne mają dobrą perspektywę, mimo zakończenia wojny w Wietnamie.* Towarzystwo „North American Rockwell" (bombowce strategiczne, rakiety) przewiduje długoletni okres czegoś pośredniego między wojną ograniczoną a zimną. „General Dynamics" nie odbiega w swych prognozach od wyników opracowanych w pracowniach konkurencji: *Na pewno będzie zimna wojna z możliwością wojen lokalnych.*

Te „przewidywania" mają określony cel. Chodzi o nadawanie kierunku planom firm zbrojeniowych, a jednocześnie o dostarczanie argumentów dla szerzenia przez nie swych poglądów i... wyrobów. *Należy oczekiwać* — pisze gazeta — *że towarzystwa te użyją swego wpływu, aby te proroctwa się spełniły. Nie jest bynajmniej przypadkiem, że ich ocena przyszłości świata jest zbieżna z warunkami, które zwiększyłby do maksimum zamówienia wojskowe.*

Przypomina się w tym miejscu sławna historia z reporterem koncernu Hearsta wysłanym na Kubę dla pisania reportaży o wojnie. Na Kubie wojny nie było. Reporter przekablował do centrali depeszę: Nie ma wojny, co robić? Hearst oddepeszował: Jeśli wojny nie ma, to będzie. I Hearst wojnę zrobił.

Amerykańskie monopole zbrojeniowe żyją z wojny i zrobią wszystko, aby im to źródło nie wyschło. Nie interesują ich cywilne możliwości. Przedstawiciele przemysłu zbrojeniowego usiłują wmówić opinii publicznej, że technika stosowana do budowy sterowanego elektronicznie, naddźwiękowego odrzutowca wyposażonego w rakiety nie może być użyta do przebudowy gett murzyńskich, lub oczyszczania powietrza. *Trudno sobie z tym poradzić* — stwierdza Dwight K. Werner, specjalista firmy „General Dynamics". — *Przy sprzęcie wojskowym człowiek może przeanalizować zagrożenie, przeznaczenie, wymaganą szybkość i siłę ognia. To są sprawy wymierne, uchwytne. Ale jak zmierzyć cele rozwojowe dla Nowego Jorku, czy Waszyngtonu?*

Jest coś przerażającego w tym rozumowaniu. Planować masowe zabójstwa można, likwidacji nędzy gett murzyńskich nie da się zaplanować. Pies jest jednak gdzie indziej pogrzebany. „Washington Post" przyznaje, że głównym powodem niechęci przemysłu zbrojeniowego do angażowania się w realizację inwestycji cywilnych są... małe zyski. Dlatego robi się wszystko, aby produkować śmierć. Na śmierci zarabia się najlepiej.

Jeszcze trwa wojna w Wietnamie, dopiero kiełkuje nadzieja na pokój dla tego umęczonego kraju, a w Stanach Zjednoczonych już się robi programy na „po Wietnamie". Pentagon zdążył nawet opracować tzw. „listę życzeń", na której każda pozycja będzie kosztowała po kilka miliardów dolarów. Są tam takie „życzenia", jak samoloty startujące i lądujące pionowo, rozbudowa systemu antyrakietowego, okręty podwodne, nowe kontynentalne rakiety balistyczne, nowy samolot szturmowy, nowe bronie chemiczne, bakteriologiczne...

Obecny budżet zbrojeniowy USA wynosi 80 miliardów dolarów. Już teraz mówi się, że „po Wietnamie" wzrośnie on do 100 miliardów dolarów.

W dziedzinie obrony — powiedział dyrektor „General Dynamics", Richard E. Adams — *będzie wielki byznes, a my otrzymamy w nim swój udział.*

Autorzy raportu zamówionego przez prezydenta Kennedy'ego dobrze zilustrowali istniejącą w USA sytuację: wojna stanowi podstawę amerykańskiego systemu. I o tym trzeba pamiętać, gdy jego przedstawiciele mówią o pokoju.

Nad „Pismami wybranymi" Norwida

Kazimierz Braun

WOSIEMDZIESIĄT przeszło lat po śmierci Norwid przeżywa w naszych czasach swoją drugą poetycką wiosnę. Trzeba było wiele lat wysiłków, prac i perswazji jego wielbicieli i znawców, a wśród nich zwłaszcza Wiktora Gomulickiego, Zenona Przesmyckiego i Juliusza W. Gomulickiego, aby poezja ta rozszerzyła krąg swoich odbiorców i znalazła wrażliwych słuchaczy.

„Każdego z takich jak T y ś w i a t nie może
Odrazu przyjąć na spokojne łoże,
I nie przyjmował n i g d y j a k w i e k w i e k i e m,
Bo glina w glinę wtapia się bez przerwy,
Gdy sprzeczne ciała zbija się aż ćwiekiem
Później... lub pierwej..."

pisał Norwid o Mickiewiczu i o innych wielkich; zapewne i o sobie samym także. Jego poezja sprzeczna z konwencjami, modami, gustami drugiej połowy XIX wieku — zdaje się brzmieć doniośle dopiero dziś, w klimacie artystycznym drugiej połowy XX wieku, zdaje się utrafiać we współczesne prądy rozwojowe sztuki, mówi o aktualnych zagadnieniach.

Dwa lata temu witałem z entuzjazmem dwa pierwsze tomy „Dzieł zebranych" Norwida. Słowa tego entuzjazmu wypada powtórzyć z okazji „Pism wybranych", rozchwytywanych obecnie w księgarniach całej Polski. „Dzieła zebrane" ukazały się w nakładzie 10 000 egzemplarzy, wyszły do tej pory ich dwa pierwsze tomy; jest to Norwidowska edycja podstawowa opatrzona ogromnym komentarzem i aparatem edytorskim; będzie ona kontynuowana przez lata następne. Pięciotomowe „Pisma wybrane" wydano w nakładzie 30 000. W latach 1970—1971, w sto pięćdziesiątą rocznicę urodzin Norwida, ukazać się mają „Pisma wszystkie" opatrzone przypisami, ale bez komentarza. Tak oto wspaniale rośnie lista tomów Norwidowskich trafiających do rąk czytelnika dzięki żmudnej pracy edytorskiej Juliusza W. Gomulickiego. A do listy tej dodać trzeba wydane w ciągu ostatnich lat w osobnych książeczkach „Wprowadzenie do biografii Norwida", „Legendy", „Vade-mecum", „Trylogię włoską", „Białe kwiaty", „Miniatury dramatyczne", „Listy do Pani na Korczewie"...

„Pisma wybrane" zawierają na 2900 stronach poezje, poematy, dramaty, prozę i listy Norwida. Tom pierwszy otwiera znakomity esej Juliusza W. Gomulickiego „Zjawisko: Norwid", oraz Calendarium Norwidowskie, wymieniające najważniejsze fakty z biografii osobistej i literackiej poety z okresu jego życia, a potem z dziejów recepcji jego twórczości. Calendarium doprowadzone jest do roku 1968, zawiera więc również — co trzeba wspomnieć pro domo nostra — informację o lubelskiej premierze „Kleopatry i Cezara"; podobnie jak wymienia wcześniej naszą inscenizację „Aktora". Każdy tom, z wyjątkiem listów, przynosi również wybór najcelniejszych głosów o twórczości Norwida na przestrzeni lat, notę edytorską, przypisy, słownik. I tym razem edytorskie mistrzostwo Juliusza W. Gomulickiego święci swój triumf.

◆

Przeglądam po wielekroć czytywane strofy. Zatrzymuję palce przerzucające kartki i znów czytam. Nowe odkrycia. Przypomnienia. Ogrom doznań. Refleksje. Chciałbym się tu podzielić tylko jedną. Może najistotniejszą na dziś, związaną z najostrzejszymi współczesnymi sporami. Bo nie wygasł do dziś spór o poezję Norwida i ważne są ciągle sprawy, które i dla Norwida były ważne. Idzie mi o sprawę poezji „niepoetycznej". Tej nie śpiewanej, nie dekoracyjnej, nie łatwej, nie jasnej. To jest takiej, jaką uprawiał Norwid. To jest takiej, jaka przenika dziś dzieła sztuki najnowszej.

Norwid, pierwszy na gruncie sztuki polskiej i jeden z najpierwszych w świecie, świadomie zerwał z dotychczasowymi poglądami na poezję i z ówczesną praktyką poetycką. Sformułował w sposób rewolucyjny, czym jest i czym się charakteryzuje poezja. Tę jego poezję współcześni od miana poezji odsądzili. Niektórzy odsądzają i dziś, podobnie jak odrzucają dzieła sztuki współczesnej oparte na podobnych prawach wewnętrznych, co poezja Norwida. W zespekcie historycznym pisze o tym precyzyjnie wydawca w eseju wstępnym. Nie będę przytaczał jego przekonywającego wywodu, chciałbym jednak zwrócić szczególną uwagę czytelników „Pism wybranych" na tę właśnie sprawę zarówno w czasie lektury wstępu jak i wszystkich utworów. Zrozumienie bowiem istoty i zasady poezji Norwida z jednej strony otwiera drogę do pełnej percepcji sztuki samego Norwida, jego języka, jego środków wyrazu, przedmiotów zainteresowań, a z drugiej strony zrozumienie Norwida pozwala lepiej rozumieć całą sztukę współczesną; pozwala rozumieć jaką funkcję artystyczną w nowoczesnym przekładzie Szekspira pełnią słowa brukowe (to zrozumie ten, co zrozumiał, dlaczego Norwid użył słowa „kał"), pomaga pojąć jak może budować Różewicz poetycką wizję na śmietnisku w swym dramacie „Stara kobieta wysiaduje" (a zrozumie to ten, kto natknął się w wierszach Norwida na garnek, parasolkę, talerz, mydło, czy trzewiki), i właśnie Norwid umożliwia zetknięcie się z surową poezją filmów Bunuela i Antonioniego (po lekturze takich wierszy Norwida jak „Purytanizm" czy „Larwa" rozumie się lepiej „Viridianę" czy „Powiększenie"). Lektura Norwida, rozumienie Norwida uczy obcowania z nami, współczesnymi, których Norwid był prekursorem i jest mistrzem. I odwrotnie: lektura tekstów Norwidowskich staje się łatwiejsza właśnie poprzez pryzmat dzieł sztuki najnowszej.

Twórcy współcześni stają w obronie Norwida, a Norwid uzasadnia ich dzisiejsze racje artystyczne. Uzasadnia także ich postawę i pragnienie uczestniczenia w życiu swych społeczeństw. Uzasadnia prawo poety do goryczy i niedosytu; chęć mówienia o sprawach bolesnych — aby źródło bólu umiejscowić i usunąć, o małości, aby ją w wielkość przemienić, o nienawiści, aby ją przekuć na miłość, o bezprawiu, aby je prawem człowieka zastąpić. W swej twórczości poetyckiej, w pismach prozą, a może najbardziej w listach, akceptuje Norwid prawo artysty do mówienia o najważniejszych sprawach świata swego czasu. To prawo ugruntowane jest na Norwidowskim rozumieniu zarówno roli artysty w społeczeństwie jak i samej osobowości twórcy. Dla Norwida, a takim był i on sam, twórca nie jest przede wszystkim człowiekiem uczucia, miotanym natchnieniami, wypowiadającym co tylko muzy mu w wyobraźni zaświecą. Jest natomiast artysta człowiekiem wybitnej inteligencji i celnej myśli. Jako taki najbardziej świadomie przeżywa swoją epokę, bierze na siebie odpowiedzialność za swoją twórczość, za swoje czyny i za cały świat.

Norwidowskie lektury, które umożliwiają dziś tysiącom czytelników „Pisma wybrane", są źródłem niezwykłych doznań artystycznych i refleksji filozoficznych. Są również wspaniałą szkołą obywatelskiej moralności.

Żeby tak ktoś poradził...

Czesław Klepacki

W DOMU było ich ośmioro. Wyglądało na to, że święty Mikołaj — patron parafialnego kościoła w Żmudzi, pobłogosławiwszy w dzieciach, do reszty się nie mieszał. Inna rzecz, że i rodzina Pouchów niezbyt mu się naprzykrzała, gdyż ojciec wcześniej doszedł do wniosku, iż święci za wysoko, nie można ich na co dzień mieć pod ręką, nakazywał więc dzieciom, aby rozglądały się naokoło i korzystały raczej z ziemskich okazji. Wypryskiwali też młodzi Pouchowie jedno za drugim w szeroki świat, ledwie opierzeni. Poszedł najstarszy — Wicek — do wojska, w marynarze go wzięli, a kiedy miał powrócić i matka nawet pół litra kupiła na tę okazję, list przyszedł w białej kopercie, żeby nie czekali, że trafia się robota dobra — marynarska — za szypra na rybackim statku chcą go wziąć...

W Wołkowianach — wsi bałaganiarsko rozrzuconej na chełmskiej równinie — jako żywo mało kto morze widział, matka pochlipywała w fartuch, że „utopi się ani chybi", ale ojciec sprawę przeciął krótko:

— Nie utopił się na wojskowym statku, to i przy rybach da sobie radę... Jeszcze innym może pomóc...

Jakoż i pomógł. Do Gdańska wyskoczył i już nie wrócił Pietrek — szlifierzem w Stoczni został, a potem ściągnęli jeszcze siostrę. W małym rachitycznym domku przy szosie zrobiło się jakby bardziej przestrono, można było pomyśleć o oddaniu następnej córki do Liceum Ogólnokształcącego w Chełmie.

W ten to prosty i zupełnie nienadprzyrodzony sposób Leszek został za najstarszego w rodzie, mając za sobą jeszcze dwie siostry bliźniaczki — Gienię i Marysię.

* * *

Siedzimy w klubie przy dużej i wyjątkowo dobrze zaparzonej kawie. Jest jeszcze pustawo, czasem ktoś zajrzy po papierosy, dzieciaki wyciągają z zakamarków kieszeni drobne na cukierki, za przepierzeniem matka klubowej pomstuje na sąsiadkę...

— W domu zawsze była bieda — jak tylko sięgam pamięcią. Ojciec chorował na gruźlicę, każdy grosz szedł na lekarzy. Jedna krowa i koń, z którym trzeba było do spółki ciągnąć wóz. Zresztą z tym koniem to potem była heca. Budynki czekały tylko mocniejszego wiatru. Brałem się do roboty, ale coś mnie odrzucało. Nie wiedziałem, za co ręce założyć, od czego zacząć, wszędzie kuso, wszystko się rwie...

Kiedyś na zebraniu ZMW mówiło się o wyborze nowego przewodniczącego. Ktoś podał moją kandydaturę. Wstaje jeden i powiada:

— Nie ośmieszajcie się! Toż on jednego całego postronka w gospodarstwie nie ma, przyjdzie lepszy wiatr, chałupę porwie razem z przewodniczącym...

Osiem lat minęło, a ja mu tego zapomnieć nie mogę... Nacisnąłem czapkę na uszy, poszedłem przed siebie w pole. Słyszałem, jak wołali, poznałem głos Władka Przychody. To ten sam, który teraz jest u nas sekretarzem organizacji partyjnej. Starszy ode mnie parę lat, już wtedy był członkiem partii, lubiliśmy się.

— Weź — powiada — konia, ja swoje, jedziemy na pasionkę...

Gadaliśmy całą noc...

A potem... Potem były wiatraki. Zarząd Wojewódzki ZMW zorganizował specjalny kurs. Uczono nas, jak urządzić na chałupie wiatrak, żeby mieć prąd elektryczny. Strasznie się do tego zapaliłem. Urządziliśmy taką „elektrownię" na mojej stodole, razem z Władkiem. Jak był wiatr, ładowało się akumulator, potem brało się go na taczkę i wiozło do świetlicy.

Było światło...

Był też zespół przysposobienia rolniczego, który Leszek ukończył wraz z innymi egzaminem państwowym. Chyba właśnie wtedy napadły go te myśli. Zderzenie było silne.

Wiedział i rozumiał, jak trzeba gospodarować, żeby coś mieć, a im bardziej rozumiał, tym mocniej uświadamiał sobie beznadziejność swojej sytuacji. Ziemia zaniedbana do ostatka, kilkadziesiąt tysięcy długów, potrzeby coraz większe, a pomocy znikąd. Jeździł do powiatu, — obiecali i na obietnicach się skończyło. Był na zjeździe młodych rolników w Lublinie, mówił; notowali i przytakiwali, ale z pomocą nikt się nie kwapił. Wtedy właśnie uczepił się tej myśli podsuniętej przez przewodniczącego z Chełma — Józka Hałasa: Ochotnicze Hufce Pracy. Kusiła nie tylko nadzieja zdobycia zawodu. Jeszcze silniej chęć zerwania z tym niby gospodarowaniem, kpinkami sąsiadów i kolegów...

Zresztą...

— Tej nocy nie spałem. Przemyśliwałem na każdą stronę. Żal chorego ojca, zaharowanej matki i sióstr — dzieciaków. Szkoda jedynej nadziei... Co robić?

Przy śniadaniu — niby niechcący — powiedziałem: — Jadę na Śląsk — na budowę...

Ojciec nawet łyżki nie odłożył. Trzepnął, aż poleciałem na ścianę. Wybiegłem z izby, ojciec za mną. Złapał widły. Byłem szybszy. Obiegłem kilka razy zabudowania, a potem w pole. Od Władka pożyczyłem 100 złotych i tak jak stałem, bez czapki, znalazłem się w Tychach...

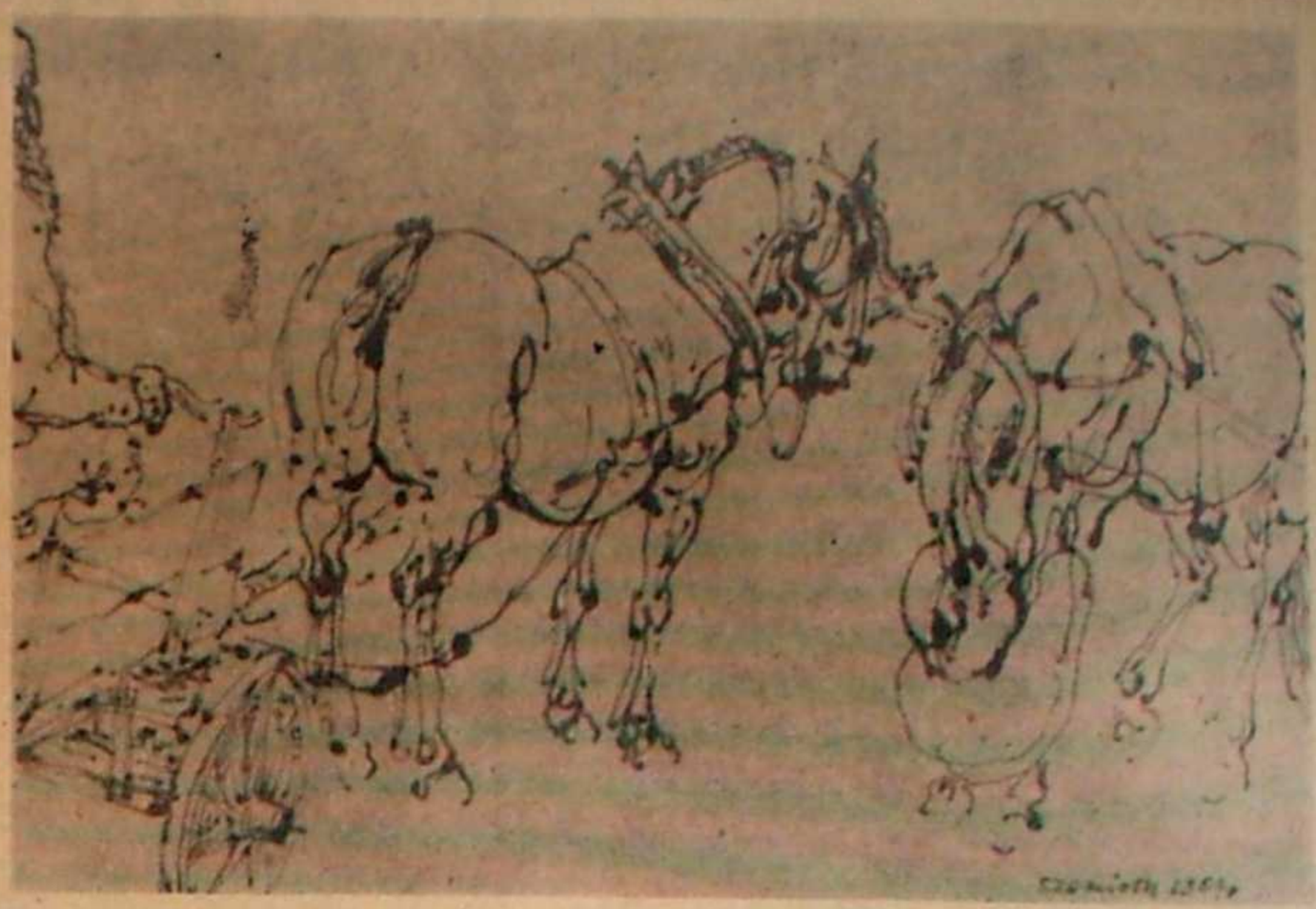

Kazimierz Szemioth: „Rysunek na kafli". Ceramika wypalona w temperaturze 740 st. C. Fot. W. Wolny

Ucząc się murarki w Tychach, przez pierwszy rok ani razu do domu nie napisał. Dopiekał ojcowski policzek. Potem, w miarę jak stawał na nogi, kiedy miał już swój, wcale niezgorszy grosz, wtedy znów zaczęło ciągnąć do domu. Przyjechał na urlop. W domu jeszcze gorzej. Choroba ojca postępowała szybko, tak samo szybko, jak ruina gospodarstwa. Zarobiony grosz wydał na lekarstwa i podatki...

W sąsiedniej wsi była zabawa. Właśnie tu poznał Celinę. Przyszła z innym kolegą, znajomość groziła mordobiciem, koledzy jakoś sprawę załagodzili. Pochodziła z zamojskiego, biedota absolutna, niańczyła dzieci u prezesa GS.

— Bieda ciągnie do biedy — powiada dziś Leszek.

Zaś wtedy Celinie poradził: idź do Hałasa, pomógł mnie, pomoże i tobie. Całe życie nie będziesz cudzych dzieci niańczyć. Tak oto Celina ukończyła roczną szkołę hodowli drobiu w Mławie i dostała pracę w Zamościu. Żeby było bliżej, Leszek rzucił swą Hydrobudowę w Tychach i podjął pracę jako murarz w Chełmie. Widywali się często. Sprawa ślubu była właściwie tylko kwestią zebrania trochę grosza. Dla Leszka była to jednak przede wszystkim kwestia drogi, jaką ma obrać na całe życie. Kusił murarski fach i szansa życia w mieście. Było też coś, co nie pozwalało rzucić rodziców i sióstr na pastwę losu.

Na razie dylemat przecięła komisja poborowa. W drugim roku służby Leszek otrzymał telegram o śmierci ojca. Za miesiąc w ślad za nim wywieziono na cmentarz matkę. Jeszcze szły starania o przedterminowe zwolnienie ze służby wojskowej, a już Celina rzuciwszy pracę znalazła się w rodzinnym domu Leszka. Ku ogólnemu zgorszeniu wsi — bez ślubu przecie — wzięła w garść resztki walącego się gospodarstwa, wraz z siostrami czekała na powrót Leszka.

— Kiedy wróciłem, w domu było tylko pół worka kartofli i trochę kaszy... Tak zaczęliśmy...

* * *

Huczy w kominie ogień — Celina krząta się przy kolacji. Pomaga jej Marysia, która niedawno wróciła ze Szkoły Przysposobienia Rolniczego w Żmudzi. W pokoiku zaś energicznie majta nóżętami jednoroczny Irek, usiłując złapać ojca za włosy. Jest ciepło i przytulnie, dawno już odjechał ostatni autobus do Chełma, wygląda na to, że muszę liczyć na okazyjne ciężarówki wożące buraki.

* * *

— Powoli odremontowałem budynki, spłaciłem długi, uregulowałem zaległości podatkowe. Kupiłem też trochę mebli i motocykl.

W ubiegłym roku kupiłem dwie tony nawozów. Ludzie się śmieli.

— Na dziady — mówili — pójdziesz, jak tak będziesz pieniądze wyrzucał. Zebrałem 35 kwintali pszenicy z hektara. Teraz już się nie śmieją. Ale mnie też nie do śmiechu. Oto niedawno, na Wszystkich Świętych zjechała się cała rodzina. Zrobiliśmy coś w rodzaju familijnej narady. Chodzili, patrzyli, a potem powiadają:

— Nie ma innego wyjścia, Leszek, trzeba to wszystko sprzedać i sprawiedliwie podzielić. Nam się przecież po rodzicach tak samo należy, jak tobie, do równego działu trzeba iść.

Ja im na razie spokojnie, żeby się z tym działem tak nie spieszyli, że jeszcze czas, przecież ja dopiero staję na nogi, dorobię się, to każdemu coś dam a oni swoje, że czekać nie myślą. Wtedy powiadam, że na dobrą sprawę nie dostaną nic, gdzie byli, kiedy w domu piszczało od biedy, czemu ani razu nie zajrzeli, dlaczego teraz domagają się tej sprawiedliwości?

Rozstaliśmy się w nie najlepszej zgodzie. Od tego czasu znów spać nie mogę, znów wszystko mi brzydnie. Wiem, że prawnie nic mi nie wezmą, jeśli nie zechcę dać, ale kto chce iść na udry z całą rodziną? Myślałem tak: mam przecież na utrzymaniu i pod opieką dwie siostry. Jedna uczy się w szkole zawodowej w Chełmie, druga na miejscu w SPR. Jakoś im muszę przyszłość zabezpieczyć. Przychodzą do głowy różne myśli. Sprzedać, ale podzielić między te dwie siostry bliźniaczki, niech mają na pierwsze lata samodzielnego życia. Sam zaś chciałbym kupić albo wydzierżawić jakieś gospodarstwo w Bieszczadach albo na Ziemiach Zachodnich. Roboty się nie boję, wszędzie sobie dam radę, byle na swoim, byle było na czym.

A z drugiej strony, żal opuszczać wieś, żal tego wszystkiego, co tutaj zrobiłem. W gospodarstwie i we wsi. Ot, choćby ostatnio. Razem z agronomką założyliśmy nowy zespół przysposobienia rolniczego, wziąłem go pod opiekę i powiedziałem, że będzie najlepszy w powiecie. Młodym trzeba pomóc, bo i mnie pomagano. Ale sprzedać, to znaczy wpierw przeprowadzić sprawy spadkowe, a tu znów boję się podatków. Żeby tak ktoś poradził, dopomógł... I znów, jak u początku drogi, stoi Leszek przed poważną, może najpoważniejszą w życiu decyzją. Jeszcze jej nie podjął, jeszcze nie przesądzajmy sprawy.

Ostatnio korzystając z jesiennych, wolnych dni, zalewał fundamenty pod nowy, murowany dom, zwoził cegłę. A teraz — późnym wieczorem bierze na ręce Irka i huśta wysoko, do sufitu prawie...

Pasje Jarosława Dobrzańskiego

Helena Pilipiuk

JEDYNY w województwie białostockim laureat ubiegłorocznej nagrody państwowej II stopnia w dziedzinie postępu technicznego... W 1960 roku — za całokształt pracy społecznej i politycznej otrzymał Order Sztandaru Pracy. Szeregu innych odznaczeń nie będę wymieniała. Skoncentruję się natomiast na ostatnim — zupełnie niezwykłym.

Maj 1968 r. Z okazji Dnia Działacza Kultury — nagrody, odznaki dla najlepszych pracowników kultury. Wśród wyróżnionych znalazł się także dyrektor Zakładów Suchej Destylacji Drewna w Hajnówce — Jarosław Dobrzański.

Dlaczego wśród pracowników świetlic, domów kultury, wśród nauczycieli, działaczy społecznych znalazł się dyrektor dużej fabryki? Odpowiedź — w czasie wizyty w Hajnówce.

Tu dalsze niespodzianki. Choć znajduję się w pobliżu fabryki chemicznej — wokół czyste jezdnie, chodniki. Pięknie utrzymany stadion, kort tenisowy, rozległy basen kąpielowy (jedyny tego typu w województwie), kabiny do przebierania się, urządzenia sanitarne. Brodzik i dobrze wyposażony plac zabaw dla dzieci. Okazały zakładowy dom kultury „Górnik". Wszystkie inwestycje powstały w okresie, gdy stanowisko dyrektora naczelnego zakładów sprawuje Jarosław Dobrzański.

Spotkanie w gabinecie dyrektora. Pytam o przyczynę tego niezwykłego sukcesu. Dyrektor Dobrzański powołuje się na współdziałanie z podstawową organizacją partyjną, z radą zakładową, z władzami miasta i powiatu. Nic a nic o sobie.

Potem mówi, że do zdobycia odznaki Zasłużonego Działacza Kultury przyczyniła się praca wielu członków załogi ZSDD. Ludzi skromnych, cichych, zaangażowanych w działalność społeczną dla osobistej przyjemności, a nie z próżnego polowania na efektowne laury. Wymienia nazwiska działaczy samorządu robotniczego i rady zakładowej, a nawet nazwisko gospodyni domowej pracującej społecznie w środowisku hajnowskim.

Daję za wygraną i przestaję nagabywać dyrektora o jego osobistą rolę w organizowaniu życia kulturalnego w Hajnówce. Zaczynam notować informacje na temat wkładu hajnowskiej fabryki chemicznej w rozwój kultury tego miasta. Tym razem elokwencja nie zawodzi dyrektora Dobrzańskiego.

Dowiaduję się, że wszystkie obiekty socjalno-kulturalne ZSDD służą całemu społeczeństwu Hajnówki. Do pięknego „Górnika" nie wzbrania się wstępu nikomu. Odwrotnie — w wyniku porozumienia między poszczególnymi zakładami pracy i instancjami kulturalno-oświatowymi Hajnówki — „Górnik" stał się Międzyorganizacyjnym Domem Kutury i zarazem zaczął spełniać rolę powiatowego domu kultury.

— Budowa powiatowego domu kultury w Hajnówce byłaby nonsensem ekonomicznym i społecznym — mówi Jarosław Dobrzański. — Mamy obecnie trzy domy kultury: Dom Nauczyciela, „Leśnik" i „Górnik". Postanowiliśmy więc rozdzielić między sobą „role" i przystąpić do nieoficjalnej rywalizacji w kształtowaniu i zaspokajaniu potrzeb kulturalnych społeczeństwa hajnowskiego.

Każda placówka spełnia inne zadanie, najszerszy jednak zakres pracy przypadł w udziale „Górnikowi". Tu jest wszystko: dla każdego — coś ciekawego.

„Kącików" zainteresowań ma być jeszcze więcej. Właśnie adaptuje się pomieszczenia piwniczne na laboratorium fotograficzne i gabinet radiotechniczny. Poza tym podjęto decyzję dobudowania jeszcze jednego piętra. Znajdzie się tam między innymi pracownia plastyczna i salon wystawowy — mieszkańcy powiatu z Puszczą Białowieską lubią rzeźbić w drewnie.

Zakres działalności „Górnika" jest imponujący. Oprócz tradycyjnych zespołów artystycznych i poradnictwa instruktorskiego w zakresie pracy kulturalno-oświatowej w „Górniku" kwitnie sztuka baletowa.

— Staramy się uczyć dzieci rozumienia muzyki i wyczuwania rytmu — mów dyrektor Dobrzański. — Ucząc estetyki ruchów, chcemy przeciwdziałać brzydocie i brakowi harmonii.

Choreograf Lelewska trzy razy w tygodniu prowadzi próby z ogniskiem baletowym. W sali baletowej zgrabne, wydłużone czernią kostiumów sylwetki wspinają się na czubki palców i wykonują trudne piruety. Z ogniska muzycznego i baletowego korzysta około setki młodzieży.

Do „Górnika" nie trzeba „zapraszać" siłą. Wszyscy chętnie idą sami, nawet ci „urodzeni w niedzielę" i dopiero nabierający ogłady towarzyskiej nowi robotnicy. „Górnik" przyciąga wszechstronnością form działania i przytulnością pomieszczeń, bo nawet obszerna sala teatralno-kinowa spełnia najczęściej rolę kameralnego Dyskusyjnego Klubu Filmowego. Do „Górnika" chętnie chodzi się na kawę. Tu mają swoją siedzibę ZMS-owcy — dostali ładne pomieszczenie na „Klub Entuzjastów", w którym nie tylko bawią się, ale i dyskutują o polityce, ideologii, o sprawach młodzieży.

W „Górniku" mieści się dobrze zaopatrzona biblioteka i czytelnia. Bywalców jest dużo. Działacze i patron kultury z ZSDD — Jarosław Dobrzański — znaleźli sposób na wyrabianie nawyku czytelnictwa nawet u tych, co dopiero w szkole przyzakładowej uzupełniają wykształcenie podstawowe. Po prostu dobrze wyposażyli bibliotekę w książki do lektury szkolnej — sposób zwyczajny, a jednak owocny. Rzadko kiedy zainteresowanie czytelników kończy się na „Placówce" i „Janku Muzykancie".

Komasacja środków na kulturę i oświatę nie poszła na marne. Hajnowskie działanie — to przykład godny naśladowania. Gorzej chyba będzie ze znalezieniem gdzie indziej takiego mecenasa kultury, jakim jest Jarosław Dobrzański.

Kamena str. 3

Czesław Twardzik

Z podróży do Anglii

U Szekspira

Skrzypieniem schodów
elżbietańskie świerszcze
sen nocy letniej przypinają
pątnikom u dębowych pował.
Nie dotykać reliktów. Wszystko — jak było,
kiedy skrzętny kupiec
z Henley Street ciułał szylingi
na fotel burmistrza Stradfordu.
Czas zatrzymał kołyskę ukosem
przy łożu, gdy skrzek małego Willa
ogłosił prapoczątek Hamleta.
Potem
dymiącym wozem koczowniczej trupy
sypał gwiazdy boski sekretarz
od brzegu do brzegu.
Jeszcze tylko trzask płyty w kaplicy
nad rodzinną rzeką —
i już odpływaj w wieki
przez purpurowy ocean,
„łabędziu Avonu".

Hyde Park

Słuchajcie, słuchajcie.

Uzdrawiam chrome parlamenty
i brzuchy smętnie grające.

Komu, komu
za minutę ucha
najlepszego boga
w inkrustowanej szkatułce.

Komu
niezawodne pigułki zbawienia.

Komu
cudowny środek na porost włosów
wypróbowany na siodle
walecznego rotmistrza Clooca.

Tutaj, ladies and gentlemen,
znudzeni lordowie, bezrobotni gapie,
bankierzy, pstrokaci hippies,
matrony kadzidłem pachnące.
Ludu Albionu, tutaj.

Tutaj:
krasomówcza mżawka po mokrych
ortalionach hałaśliwie
spływa.

Big Ben

Zmęczony pielgrzym
stanął tuż przy moście,
aby w Tamizie moczyć
płaskostopie.
Komu grozisz, gotycki dryblasie
palcem na nosie kiwającym płasko?
Wierny stróż Westminsteru
łomotem serca dostojnie
człapie po rewirze City,
kiedy fajka premiera
zakwita nad matem.
Co godzinę na dachy Londynu
mnich pijany puste, ogromne
beczki wyrzuca z rozmachem.
Uwaga, Buckingham: jedenasta.
Big Ben, wąsaty wachmistrz
gwardyjską komendę
tubalnie skanduje
kolorowym zabawkom
najjaśniejszej pani.

Zmień wartę, wachmistrzu,
zmień wartę.

Chełm

Z Księżyca na Ziemię

Dokończenie ze str. 1

funt=0,453592428 kg. W głowie miesza się od tych liczb. Sam wyczyn dla nas, żyjących głównie w kręgu spraw drobnych, jest czymś niepojętym. Kiedy 14 września 1959 roku radziecka Łuna 2 trafiła w Księżyc, gazety przyrównywały to wydarzenie do trafienia kulą rewolwerową wystrzeloną z pędzącej karuzeli w przelatujący pocisk armatni. Jak tu nie gratulować uczonym, konstruktorom, kosmonautom. Tym ostatnim — najbardziej. Oni ryzykują przecież życiem.

27 GRUDNIA 1968. — No, wylądowali szczęśliwie — zakomunikował mi ojciec przez telefon. Graliśmy właśnie z Jurkiem w szachy i drewniane figurki zaabsorbowały nas całkowicie. Później usłyszałem dalsze szczegóły: „Apollo-8" wodował w odległości około 4 500 m od czekającego nań lotniskowca „Yorktown", z którego natychmiast wystartowały helikoptery z płetwonurkami. Po godzinie 18 helikopter przewiózł trójkę kosmonautów na pokład lotniskowca, gdzie zostali poddani zwykłym w takich wypadkach badaniom lekarskim.

Księżyc — Księżycem, Ziemia — Ziemią. Mnie na ziemię (przez małe „z") sprowadził korespondent amerykańskiej agencji UPI. Amerykanie nie są zbyt przychylnie nastawieni do Arabów, tym bardziej wstrząsająca jest relacja o losie uchodźców palestyńskich.

Było tak zimno, że palce fotoreportera odmówiły posłuszeństwa przy robieniu zdjęcia ciężarnej kobiety, ubranej w łachmany, brnącej boso przez pół zmarznięty szlam. Nie był to zresztą widok nowy czy niezwykły. Z drugiej strony zrozpaczone oczy kobiety, błagające o pomoc, nasuwały pytanie, czy zdoła ona w tych warunkach uchronić swój płód? Jest to jedna z makabrycznych kwestii, nurtujących uchodźców palestyńskich w okresie świąt Bożego Narodzenia: „Ile dzieci umrze tej zimy?" Chodzi o dzieci, które rodzą się w namiotach z cienkiego płótna, lub w tekturowych barakach. W takich warunkach ma przetrwać zimę blisko pół miliona Palestyńczyków zgromadzonych wokół Ammanu. Ubiegłej zimy zmarło 400 dzieci. Tej zimy niechybna śmierć czeka na znacznie więcej ofiar, ponieważ wzrosła liczba uchodźców i pogorszył się ich los.

W jednym z obozów, 20 mil na północ od Ammanu, znajduje się 40 000 uchodźców, którzy żyją w potwornych warunkach. Otwarta ze wszystkich stron wyżyna nie chroni przed lodowatym wiatrem. Obfite deszcze zmieniły czerwony grunt w rozmokły muł, który obecnie zamarza, kalecząc bose stopy uchodźców.

Kosmonauci amerykańscy donosili z podróży wokół Srebrnego Globu, że jest on szary i nudny. Szarzyznę, tragiczną szarzyznę można znaleźć i na Ziemi. Podróż jest tu znacznie tańsza i mniej niebezpieczna.

28 GRUDNIA 1968. Ostatnie dni roku. Rokowania paryskie w sprawie pokoju w Wietnamie utknęły na martwym punkcie. Dyskusja toczy się wokół stołu. Tak, tak... Nie p r z y stole, ale w o k ó ł stołu. Delegat amerykański zaproponował delegatowi DRW kolejno dwa stoły półowalne, oddzielone od siebie, lub dwa stoły półokrągłe, również oddzielone od siebie, wreszcie dwa stoły półokrągłe rozdzielone przez dwa małe stoliki prostokątne, na których umieszczone byłyby dwa magnetofony. Delegat DRW ze swej strony zasugerował jeden stół w formie okrągłego pierścienia, który byłby podzielony na połowę po stronie amerykańskiej i południowowietnamskiej i na dwie czwarte po po stronie północnowietnamskiej i FWN.

Propozycja delegata DRW jest logiczna: w konferencji biorą przecież udział c z t e r y delegacje, wśród nich i delegacja FWN. W sporze chodzi więc w gruncie rzeczy nie tylko o same względy proceduralne, ale o j a s n e z d e f i n i o w a n i e stron, które mają w niej uczestniczyć. Stany Zjednoczone grają na zwłokę, a tymczasem Cao Ky ponownie zaznacza, że władze sajgońskie nigdy nie zgodzą się na uznanie FWN jako niezależnej jednostki. FWN kontroluje 80 proc. terytorium Wietnamu Południowego. Przy półmilionowej armii amerykańskiej!

Czasami łatwiej okrążyć Księżyc niż wietnamskie dżungle!

29 GRUDNIA 1968. Nie sposób nadążyć z lekturą dzienników i czasopism, które w okresie świątecznym były szczególnie bogate. Niekiedy zdaje się, że redakcje przez rok gromadziły ciekawe materiały, aby teraz oderwać czytelników od butelek z klarownym płynem.

Oto „Życie Warszawy" z 22—23 grudnia. Na pierwszej stronie wiadomość agencyjna o starcie „Apollo-8". Na trzeciej i czwartej stronie rozważania płk Janusza Przymanowskiego z interesującego cyklu „Ściśle jawne". Tym razem — o sztuce wojennego rozboju.

Rzeczy niby znane, chełpiła się tym prasa amerykańska, chociaż zapewne mniej niż lotem wokół Księżyca. Ubierano słowa w patriotyczną otoczkę. Gdyby ją zerwać, pozostałby człowiek. Człowiek z paraliżem systemu nerwowego. Taki bowiem jest efekt wypróbowanego na Wietnamczykach automatycznego karabinu M-16 strzelającego „koziołkującymi kulami", które raniąc powodują paraliż. Wietnam stanowi również poligon dla armaty „Volcano", strzelającej pociskami kalibru 20 mm w tempie 6—8 tys. pocisków na minutę. Wobec prawie jednoczesnego trafiania w cel — szalek przypomina wybuch bomby!

Mało? Jest jeszcze „niebieski ptak". Tak ochrzcili Amerykanie sztucer o dwu lufach, umieszczonych jedna nad drugą, z których pierwsza służy do miotania granatów, a druga strzela wiązkami malutkich, pierzastych strzał długości 25 mm i grubości ołówkowego grafitu.

Może za kilka miesięcy człowiek będzie stąpać po Księżycu, ale jakimi niespodziankami uraczy nas na Ziemi?

Niejaki p. J. P. Ruiny (nazwisko nomen omen), wiceprezes Instytutu Technologii w Massachusetts, obliczył, że obecny arsenał strategiczny Stanów Zjednoczonych z wyłączeniem bombowców o krótkim zasięgu oraz taktycznych i obronnych broni atomowych, obejmuje ponad 1000 międzykontynentalnych pocisków balistycznych, ponad 600 pocisków umieszczonych na okrętach podwodnych i około 500 bombowcach długodystansowych B-52. Zakładając, że każda rakieta przenosi jedną bombę atomową, a bombowiec cztery takie bomby, siły strategiczne USA dysponują łącznie około trzema tysiącami bomb atomowych. Każda z nich jest w zasadzie przynajmniej 50 razy silniejsza od tej bomby, która spadła w Hiroszimie.

J. P. Ruiny dodaje, że Związek Radziecki ma wprawdzie w swoim arsenale mniej bomb atomowych niż USA, ale są to bomby o większej sile. Biorąc pod uwagę fakt, że ludność USA jest bardziej niż ludność ZSRR skoncentrowana w ośrodkach miejskich, zdolność zniszczenia obu stron jest mniej więcej taka sama.

W konkluzji swoich rozważań autor dochodzi do rozsądnych wniosków. *Konieczność deeskalacji w wyścigu zbrojeń powinna stać się jasna dla każdego; koszty są bowiem ogromne, potencjalne zniszczenie straszliwe, a dążenie do uzyskania przewagi niebezpieczne i szkodliwe w zestawieniu z innymi problemami.*

Prezydent-elekt Nixon kładzie jednak nacisk na konieczność amerykańskiej przewagi militarnej. Jeśli uda mu się zakończyć wojnę w Wietnamie, 30 miliardów dolarów rocznie, topionych dzisiaj w tym kraju, może pochłaniać nowy wyścig zbrojeń. Obłęd? Taniec na przepaścią? Czy po prostu idiotyczne prawa kapitalizmu — chęć uwolnienia przemysłu od kłopotów związanych z rekonwersją?

Niełatwo cieszyć się ze zdobywania Księżyca. Moja radość wówczas byłaby pełna, gdyby człowiek przed lotem na Srebrny Glob mógł uregulować swe niełatwe ziemskie sprawy. Ale może to ja jestem fantastą? A może pojęcie fantazji jest dziś inne niż za czasów Wellsa, który okazał się przecież najzwyklejszym realistą?

Marek Adam Jaworski

CZY TO TEN SAM ŻYRZYN?

Dokończenie ze str. 1

Obok starych drewnianych chat — skazanych już przez samych właścicieli na rozbiórkę — dotychczasowi mieszkańcy stawiają nowe, murowane budynki. Przenoszą się stopniowo do nich. Nie mówię już szerzej o rzeczy tak na pozór oczywistej jak elektryczność, której tu jednak również nie było. Teraz, spędzając w Żyrzynie urlop, będę mógł nie tylko czytać przy takim samym świetle, jakie mam we Wrocławiu (wtedy była lampa naftowa lub karbidówka), ale i pokrytykować sobie program telewizyjny.

Gdybym zaczął wymieniać wszystko, co w Żyrzynie zastałem nowego, mógłby ktoś powiedzieć, że specjalnie szukałem takiej wzorowej wsi, która szczególnie wyraziście dokumentuje dokonane w Polsce przemiany. Wiecie przecież jednak, co mnie tu sprowadziło. Chcę odświeżyć wspomnienia, dowiedzieć się, co dzisiaj robią ludzie, którzy kiedyś, w czasach brutalnie zamkniętego dostępu do wiedzy, uczyli się jednak mimo zakazów, włączeni w ten sposób również do konspiracyjnego ruchu obrony polskości, panującego wówczas w Żyrzynie niepodzielnie. A że przy tym muszę zauważyć to, co się każdemu, kto znał tę wieś dawniej, rzuca w oczy, rzecz zupełnie naturalna.

Zaraz na tzw. krzyżówce, gdy tylko wysiadłem z warszawskiego autobusu, „natknąłem się" na nie istniejący dawniej budynek Wiejskiego Banku Spółdzielczego, obok niego zaś widzę nowoczesny sklep wyrobów przemysłowych, a wreszcie — nieco głębiej, bardziej w stronę samej wsi, która się ciągnie równolegle do owej szosy warszawsko-lubelskiej — wypełniony przede wszystkim w soboty i niedziele, gdy przejeżdża tędy wielu amatorów wycieczkowego weekendu, estetyczny lokal restauracji „Leśniczanka".

Najcenniejszy jednak w tym zespole nowych budynków jest ośrodek lekarski, otwarty tu kilka lat temu przez założoną z inicjatywy samych żyrzyniaków spółdzielnię zdrowia. Pamiętam przecież, jak miejscowy działacz społeczny, Jan Wawer, opowiadał, że już przed wojną żyrzyńscy ludowcy i wiciarze próbowali zorganizować taką spółdzielnię, zwerbowali do niej trzystu członków, ale żaden lekarz nie chciał osiąść na wsi i „spółdzielnia się rozleciała". Obecnie jest na miejscu zarówno internista, jak i stomatolog, i kiedy trzeba było ostatnio szczepić dzieci przeciw chorobie Heinego-Medina, można to było zrobić w samym Żyrzynie, zamiast jeździć np. do Puław.

Z tym jeżdżeniem zresztą też jest dziś zupełnie inaczej. Jeszcze w pierwszym okresie po wojnie do oddalonych o 12 kilometrów Puław docierało się stąd tylko furmanką, rowerem lub po prostu pieszo. Teraz tak gęsto chodzą tu autobusy, że połączenia między Żyrzynem a Puławami nie ustępują właściwie komunikacji wewnątrz większego miasta. Dlatego też tak łatwo obecnie żyrzyńskiej młodzieży uczęszczać do puławskich szkół średnich.

Jakże inaczej było z tą szkołą średnią wtedy, w latach 1942—54. Tym bardziej jestem ciekaw, co się dziś dzieje z ludźmi, którzy w warunkach konspiracji i cotygodniowych przenosin z domu do domu, tych parę pierwszych klas gimnazjalnych przeszli, co roku zdając egzaminy przed specjalnie zjeżdżającą z Puław — również oczywiście konspiracyjną — komisją złożoną z wykładowców zamkniętego przez hitlerowców gimnazjum i liceum puławskiego (przewodniczył komisji prof. Włodzimierz Zinkiewicz).

Dowiaduję się więc, że syn wiejskiego kowala z sąsiadujących z Żyrzynem Zagród, Stanisław Rybak (chłopak zaskakiwał mnie zawsze genialną pamięcią i szczególnym talentem do nauk ścisłych), po wyzwoleniu ukończył matematykę i fizykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Obecnie mgr Rybak pracuje jako wykładowca szkoły średniej w powiatowych Rykach, z Żyrzynem nie zerwał i podobnie jak wielu innych jego mieszkańców buduje tu sobie piękny dom. Żona jego jest również nauczycielką i uczy w jego rodzinnych Zagrodach, w których przed wojną szkoły w ogóle nie było.

Zbigniew Łopatek studiował chemię farmaceutyczną — najpierw na Politechnice w Gliwicach, potem w Warszawie. Od kilkunastu już lat pracuje w Warszawskich Zakładach Farmaceutycznych. Był w nich głównym technologiem, obecnie zaś pełni funkcję wicedyrektora do spraw postępu technicznego. Niejeden z leków, które sami zażywamy i które zakład eksportuje za granicę, zawdzięczamy cierpliwym poszukiwaniom badawczym i twórczej wynalazczości inż. Zbigniewa Łopatka.

Inny spośród żyrzyńskich uczniów tajnych kompletów gimnazjalnych, mgr Józef Mikos, z wykształcenia prawnik, jest dzisiaj prezesem Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. Jego imiennik, utalentowany uczeń z Zagród, Józef Kozak, ukończywszy studia romanistyczne, pracuje w stołecznych wydawnictwach, będąc jednocześnie pisarzem. Wydał już dwie powieści, „Pozory" i „Dziwoląg", w obydwu podejmując istotne problemy społeczno-moralne.

Jan Furtak z Woli Osińskiej ukończył medycynę i jest adiunktem kliniki chirurgicznej w Szczecinie, Henryk Szczęsny jest również lekarzem, Henryk Kozak pracuje jako inspektor szkolny w Lubartowie, a Barbara Dobrosielska (obecnie Miluska) przeprowadza cenne eksperymenty dydaktyczne w jednej ze szkół puławskich (jej pracę magisterską na polonistyce stanowiła monografia „Kameny").

Prawie każdy spośród nich podtrzymuje swoją więź z Żyrzynem, często tu przyjeżdżają, w czasie urlopów pomagają rodzicom w typowo wiejskich zajęciach. Niektórzy zresztą — jak wspomniany już Stanisław Rybak — pozostali na miejscu. Została także Zofia Grzegórska, która pracuje obecnie w biurze Gromadzkiej Rady Narodowej, i Anna Wiakowa prowadząca sekretariat nowej szkoły w Żyrzynie.

Stwierdzenie jednak, że swe dzisiejsze oblicze Żyrzyn zawdzięcza stworzonym przez Polskę Ludową warunkom, jest prawdą tylko połowiczną. Brzmi w nim jakaś nuta bierności. Tymczasem wieś ta jest w całym tego słowa znaczeniu aktywnym współtwórcą widocznych na jej przykładzie przemian społecznych. Wiele zawdzięcza inicjatywom własnym, własnemu uspołecznieniu mieszkańców, którzy budując nowy Żyrzyn kontynuują naprawdę chlubne tradycje swego ośrodka.

Trzeba przecież pamiętać, że w Żyrzynie przedwojennym bardzo intensywnie rozwijał się radykalny nurt ruchu „wiciowego", że do pewnych form życia społecznego (jak świadczy chociażby wspomniana wcześniej sprawa spółdzielni zdrowia) zdążał już dawniej. To w tym przecież środowisku działał Jan Pasiak, nauczyciel-ludowiec, późniejszy komendant lubelskiego okręgu Batalionów Chłopskich. On to właśnie zapoczątkował w czasie okupacji miejscowe formy tajnej nauki, a gdy sam „poszedł do lasu", pilnował, by tę naukę prowadzili inni.

Niejeden z dzisiejszych aktywistów społecznych Żyrzyna ma za sobą piękną kartę patriotycznego udziału w partyzantce BCh. Członek Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej, sołtys Żyrzyna, prezes tutejszego Kółka Rolniczego i Ochotniczej Straży Pożarnej (innych jego funkcji już nie wymieniam) Julian Jankowski uczestniczył przecież w słynnej akcji wysadzania w powietrze hitlerowskiego pociągu amunicyjnego pod Gołębiem, został ranny w potyczce z grupą Niemców na szosie warszawskiej, po wyzwoleniu zaś najpierw pracował w milicji, a potem — służąc w specjalnych oddziałach wojskowych brał udział w niebezpiecznych walkach z grasującymi wtedy bandami. Ma więc i Krzyż Walecznych, i Krzyż Partyzancki, i Odznakę Grunwaldzką, nie licząc innych odznaczeń i medali. Wrócił do Żyrzyna jako oficer rezerwy.

Wiele zasłużonych odznaczeń posiada również Aleksander Deputat, który od roku 1940 był zaangażowany w ruchu konspiracyjnym. Kiedy formalnie powołano do życia Bataliony Chłopskie, Deputat został w Żyrzynie przewodniczącym tzw. piątki politycznej. W domu jego często odbywały się zebrania i narady przed ważniejszymi akcjami, tu odbierano meldunki o aktualnej sytuacji w okolicy, stąd uprzedzano ludzi o ewentualnych najściach Niemców na wieś (stale zresztą nocami trzymano warty samoobrony, do których piątka wyznaczała po kolei wszystkich miejscowych członków BCh). W jego też domu zbierały się nasze tajne komplety (uczennicą była córka Lucyna), podobnie jak w domu Jankowskiego, Łopatka, Bakiery, Mikosa, Kozaka. Teraz Deputat

Kamena str. 4

Konkursy - ruletka poetycka

Zbigniew Strzałkowski

W POLSCE ogłasza się blisko czterdzieści konkursów literackich rocznie. Suma niebagatelna, doliczając do tego turnieje jednego wiersza organizowane z okazji rozstrzygnięcia różnych konkursów oraz te, o których istnieniu wiedzą tylko wtajemniczeni.

Nasuwa się pytanie: na ile konkursy, jako zjawisko, mieszczą się w ramach wartości artystyczno-ideowych literatury współczesnej, a na ile są tylko zjawiskiem czysto socjologicznym?

Cokolwiek by się o nich rzekło, niezaprzeczalne jest, że stanowią one zjawisko socjologiczne i badania od tej strony stanowiłyby pouczający materiał. Bo któż interesuje się poezją? Zarówno poeci, którzy na ogół odpowiadają na społeczne wezwanie konkursów, jak i grafomani, którzy odpadają we wstępnych eliminacjach, niemniej uparcie obstawiają następne konkursy. Istna ruletka poetycka. Przegrywają, ale wierzą w siebie. To oni najskrupulatniej czytają nagrodzone utwory, dogłębnie je analizują, wykupują tomiki debiutanckie. Posiadają nieraz dużą kulturę poetycką, są czuli na piękno, brak im tylko wrażliwości i słuchu poetyckiego i to ich eliminuje z walki.

Drugą grupę stanowią ci, którzy mają szansę stać się poetami. To do nich odnoszą się słowa Norwida określające powołanie poety: „Poetą się nie jest, poetą się bywa". Lecz żeby nim być, trzeba usilnie pracować nad sobą, wzbogacać swój język, warsztat, wyobraźnię. Sukces w konkursie jest tylko skwitowaniem ich wysiłku, poważnego wysiłku intelektualnego.

Słyszałem różne opinie o konkursach. Niektórzy poeci są przeciwni, gdyż zmusza to ich psychiczną strukturę do przestawienia się i tworzenia „na zamówienie". Inni uważają, iż jest to swoista forma zarządzania kulturą, gdyż stwarza zasadę konkurencji, a sztuce to formuła winna być obca.

Nie da się rozstrzygnąć tych postaw jednoznacznym stwierdzeniem. Pewne jest natomiast, iż jedną z form polityki kulturalnej jest organizowanie konkursów i turniejów literackich celem ożywienia życia kulturalnego, stwarzania realnych szans na wydobywanie wysokich wartości poznawczych i artystycznych nowo powstałych utworów. Prawidłowość funkcjonowania tego typu imprez w społeczeństwie potwierdza się jedynie wówczas, jeżeli same założenia konkursów wypływają z określonych przesłanek ideowych. Pomijam tu zagadnienie warsztatu uważając, iż poszukiwania formalne są nie tylko prawem, lecz i obowiązkiem twórcy.

Kto ogłasza konkursy? Wydziały kultury, związki i kluby twórcze, instytucje społeczno-kulturalne, niekiedy wydawnictwa. Na ogół wiadomo, że konkursy regionalne są mało popularne. Szanujący się poeta staje w szranki jedynie w renomowanych konkursach, mających swoją tradycję. Na tradycję składa się zaś długoletniość ogłaszanego konkursu, wysokie wymagania poziomu artystycznego, skład jury oraz profil ideowy konkursu.

Imprez tego typu mamy w Polsce żenująco mało, natomiast istnieje potop konkursów regionalnych, przy czym ostatnio obserwuje się znamienne zjawisko: chcąc podnieść rangę konkursu — z lokalnych przechodzi się na ogólnokrajowe. Jest to tylko pozorny awans jakościowy, nie zawsze dający pożądane rezultaty.

W myśl zasady, że reklama stanowi o sukcesie przedsięwzięcia, wiele konkursów posiada iście poetyckie nazwy jak: Nagroda Czerwonej Róży (Gdańsk), o Lampkę Górniczą (Rybnik), Turniej Poetycki o Złotą Laskę Górniczą (Wałbrzych), o nagrodę Srebrnej Fali (Kołobrzeg), Peleryny, Pióra i Pierścienie (Gdańsk), czy o nagrodę Pałacyku (Wrocław) lub o Laur Poetycki (Warszawa i Lublin). Można tu jeszcze wymienić różne „jesienie" (Koszalin, Łódź, Kłodzko), „wiosny" (Łódź, Opole), lub „spotkania" poetyckie obfitujące dodatkowo w turniej jednego wiersza, również oceniany przez jury.

Wokół konkursów panuje głuche milczenie. Żadna oficjalna krytyka nie zajmuje się nimi, nikt nie zdobył się na próbę oceny tego zjawiska w kategoriach artystycznych, postulatów, czy jako narzędzia polityki kulturotwórczej.

Spróbujmy na moment zabawić się w statystykę. Oto na 5 turniejów Czerwonej Róży napłynęło w latach 1960—64 blisko 5 700 wierszy, z których nagrodzono 44, w roku następnym — 6 000 wierszy „zaangażowanych", napisanych przez chłopów, robotników, nauczycieli, młodzież itp. Nagrodzono zaledwie pięć utworów. Czyżby nagły urodzaj na poezję? Ta olbrzymia liczba wyskoczyła nieprzypadkowo: w poprzednich konkursach regulamin dopuszczał do udziału wyłącznie poetów będących po debiucie wydawniczym. Na konkursy ogłoszone przez „Hybrydy" pt. „Idea Lenina", wpłynęło 600 prac; pt. „Zrodziła ich walka" — 500 prac. Natomiast na oba konkursy lubelskie — małych form literackich i Czechowiczowski napływa co roku średnio po 200 prac. Niestety, duży procent utworów to grafomania, wiersze okazjonalne, deklaratywne, długie epistoły, ba — niemal całe epopeje, pisane pod „Pana Tadeusza".

Chociaż to może zabrzmieć paradoksalnie, pojęcie „pisarz" czy „poeta" posiada wysoką rangę społeczną. Uzyskanie nagrody, albo — co więcej — zostanie laureatem to niejako pasowanie na twórcę, zdobycie pierwszych ostróg. Dążenie do uzyskania nagrody w konkursie kryje w sobie takie samo napięcie emocjonalne i ambicjonalne jak w sporcie czy w pracy zawodowej. Dla wielu uczestników sprawy finansowe są zagadnieniami drugo-, jeśli nie trzeciorzędnymi.

Jestem daleki od sugerowania, aby wszystkie nagrody pieniężne zastąpić innymi, niemniej uważam, iż można by było urozmaicić zestaw nagród, jak to jest np. w konkursie Czerwonej Róży czy Łódzkiej Wiośnie Poetów. Byleby to nie były kicze plastyczne upychane przez wydziały kultury z ich magazynów. Jeśli się założy, iż układanie wierszy jest mimo wszystko zabawą, więc i nagrody mogą być adekwatne do nich. Warto w tej materii wziąć przykład z Francuzów, którzy szczycą się świetną poezją i przyznają jako nagrody... olbrzymie sery, beczki wina itp.

Wśród nazwisk młodych poetów często drukowanych przez naszą prasę literacką niewielu znajdzie się takich, którzy nie byliby laureatami takiego czy innego konkursu literackiego. Dzięki temu, iż niemal każde województwo chlubi się kilkoma konkursami, wzrasta liczba regionalnych laureatów.

Czy w takim układzie przejście na konkurs ogólnopolski coś zmienia? Czy udział czołowych poetów w konkursach regionalnych podniesie poziom nadsyłanych prac? Nonsens! Jeżeli ma się do czegoś przyczynić, to jedynie do wyeliminowania możliwości zajęcia czołowych miejsc przez miejscowych twórców.

Na ogół zapomina się o tym, iż ogłoszenie ogólnokrajowego konkursu pociąga za sobą odpowiedzialność za prawidłową propagandę, selekcję prac, dobór jury itp. Najczęściej rzadko kto z organizatorów uwzględnia te elementy. Rezultaty przeważnie są znikome. W prasie ukaże się wzmianka o rozstrzygnięciu bez jakiegokolwiek komentarza, ot jakaś tam lokalna impreza kulturalna. Zdarza się, że nie wiadomo nawet, kto zasiadał w jury, bo organizatorzy nie poczuwają się do obowiązku powiadomienia o tym w prasie, chociaż w regulaminie konkursu jest nieraz klauzula mówiąca, iż „skład jury zostanie podany w terminie późniejszym".

Warto wymienić te imprezy, które zdobyły wysokie uznanie wśród piszących. Do nich należą: Łódzka Wiosna Poetycka istniejąca od 1958 r. (tylko dla tych, którzy są przed debiutem), Nagroda Czerwonej Róży w Gdańsku przyznawana od 1959 r., szereg konkursów ogłaszanych przez Klub „Hybrydy" w Warszawie. Ostatnio doszedł Festiwal Poetycki w Łodzi (od 1965 r.), czy Kłodzkie Dni Poetyckie.

Można zaryzykować twierdzenie, że na konkursach wypłynęło sporo zdolnej młodzieży, wymienię tylko: Gąsiorowskiego, Jerzynę, Bordowicza, Zaniewicza, Waśkiewicza, Karaska, Górzańskiego, Stanclika, Tchórzewskiego, Stachurę, Zadurę czy Mętraka. Kto wie, czy utwory tych poetów prezentowane w konkursach nie są bardziej typowe dla ich poetyki, klarowniejsze i autentyczniejsze niż tomiki, które z natury rzeczy podlegają dużej selekcji.

Udział w konkursie ogłoszonym przez instytucję społeczną, a zatem mecenasa państwowego, jest odpowiedzią na zapotrzebowanie ogólniejsze. Dyskutować można, na ile produkcja konkursowa jest autentyczna dla danego twórcy, czy nie ulega on sugestii mecenasa, nie pisze „na zamówienie"? Jakie kryteria stosuje się i jakie powinno się stosować przy ocenie nadsyłanych materiałów? Wiadomą jest rzeczą, iż tworzenie na „zadany" temat jest sprawą potwornie trudną. Nie chcę powiedzieć przez to, aby nie ogłaszać konkursów tematycznych. Upoważnia mnie do tego działalność w tej materii chociażby Klubu „Hybrydy", z jak najlepszymi wynikami. Organizator ma prawo domagać się, żeby utwór spełniał pewne postulaty. Mecenat społeczny od tej strony może wpływać na kształtowanie profilu ideowego konkursów. Nie stoi to w sprzeczności z rozwiązaniami formalnymi utworów.

Sama treść, nawet najbardziej ideowa, wypływająca z pobudek humanizmu socjalistycznego, nie stanowi jeszcze literatury, jeżeli jest tylko wykładnią programu politycznego, a nie posiada wartości artystycznych.

W roku 1962 na łamach „Nowej Kultury" Stanisław Grochowiak rozpoczął dyskusję o istnieniu dziś lub nieistnieniu poezji politycznej. Pisał: „Zgodnie z duchem współczesnej polityki nie będzie rozkwitu łatwych form deklamacyjnych, nie będzie więc obiegowo przyjętej „poezji politycznej", ale będzie polityczność w poezji. Tym głębsza, im bardziej osadzona w materii prawdziwie poetyckiej, osobistej, drążącej w głąb emocji i przemyśleń poety".

Najpopularniejszą formą jest konkurs poetycki na jeden wiersz, zestaw trzech wierszy, nieraz... tom wierszy. Właściwie nie wiadomo, czy konkurs taki spełnia zadanie. Jeden wiersz, a nawet zestaw trzech wierszy nic nie mówi o poecie. Uważam, że dopiero ocena większej liczby utworów może być miarodajna przy przyznawaniu nagród. Oczywiście, uwzględniając specyfikę konkursu, ale ta jest na ogół wspólna — konkurs poetycki.

Można się spodziewać, iż najbliższe lata będą urodzajne w konkursy prozatorskie. Forma prozatorska jest trudniejsza od poetyckiej, gdyż wymaga większego doświadczenia warsztatowego, konstrukcji utworu, wreszcie dużego doświadczenia życiowego. Ma ona i tę przewagę nad poezją, że chętnie jest widziana w redakcjach pism kulturalnych, wreszcie przemawia za nią ważny argument — po prostu niewiele mamy dobrej prozy!

Przeglądając wykaz konkursów, jaki udało mi się zestawić, ze zdumieniem zauważyłem, że nikły udział w ich ogłaszaniu mają pisma kulturalno-literackie, a wszak one posiadają największą możliwość preferowania treści i formy poprzez druk prac nagrodzonych. Nagrodą może być również sam fakt opublikowania pracy. Dlaczego tak nie jest, trudno znaleźć na to odpowiedź. Konkursy, ogłaszane przez „Życie Literackie" czy „Tygodnik Kulturalny", są imprezami od wielkiego dzwonu. Wydawać by się mogło, iż najbardziej predestynowanymi do ogłaszania konkursów poetyckich powinien być miesięcznik „Poezja" lub „Twórczość". Niestety tak nie jest. „Poezja" wspólnie z „Czytelnikiem" mogłaby ogłosić stały konkurs na tom poezji jako debiut.

Jest jeszcze sprawa, o której może nie warto byłoby wspominać, gdyby nie była ona integralnie związana z ideą konkursu.

Skoro organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa druku nagrodzonych — odczytania w radio lub wydania w formie książkowej, niechże poczuwają się do odpowiedzialności, jeśli nie prawnej to przynajmniej moralnej! Tymczasem utarło się, że regulaminy konkursowe roją się od zobowiązań, za które nikt nie bierze odpowiedzialności. Absurdem staje się zjawisko żądania od uczestników, aby nadsyłali prace aż w pięciu egzemplarzach, jak to jest w konkursie prozatorskim ogłoszonym przez Polskie Radio w Białymstoku.

Wobec tego można zapytać: w imię czego ogłaszamy konkursy? Aby przed nadrzędnymi jednostkami wykazać się działalnością kulturalną? To jeszcze za mało. Dopiero opublikowanie prac nagrodzonych z podaniem bodaj krótkiego komentarza jury spełni zadania konkursu i będzie twórczym czynnikiem w polityce kulturalnej. Warto także pamiętać o tym, że plon wielu udanych konkursów przepadł bezpowrotnie właśnie dlatego, iż nie zabezpieczono go w formie druku.

Lukę tę w jakimś stopniu wypełni zapewne pozycja przygotowywana przez wydawnictwo „Iskry", w której ma być zebrany materiał nagrodzony we wszystkich konkursach, jakie zostały ogłoszone w ostatnich pięciu latach, z podaniem składu jury, tematu, organizatora i miejsca ogłoszenia konkursu. Sądzę, iż na kanwie też pożytecznej publikacji będzie można uściślić niektóre zagadnienia nie poruszone w tym artykule.

---

przewodniczy terenowemu kołu ZBoWiD.

Do tej samej piątki politycznej co Aleksander Deputat należał Stefan Wiak (pseudonim „Kosa"). Dowodził w swoim rejonie bechowskimi Oddziałami Bezpieczeństwa, uczestniczył w niejednej akcji partyzanckiej, a gdy front był już blisko i działania bojowe się wzmogły, wraz z innymi działaczami BCh i członkiniami LZK (Ludowego Związku Kobiet) zorganizował w Żyrzynie szpital polowy Zielonego Krzyża. W szpitalu tym ofiarnie pracowały m. in. Zofia i Maria Zatorskie, Lucyna i Kazimiera Deputatówny, Janina Rusówna (obecnie Głuchowska) Anna Krawczakówna (dziś żona Stefana Wiaka). Wspaniałych narzędzi chirurgicznych dostarczyli szpitalowi odznaczający się szczególną odwagą i brawurą żołnierze BCh Feliks Głowacki („Kamfora") i Mieczysław Głuski („Huragan"). Wśród innych odznaczeń Stefan Wiak posiada Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami. Pracując obecnie jako leśniczy, jest jednocześnie sekretarzem terenowego koła ZBoWiD, prezesem wiejskiego komitetu ZSL i przewodniczącym rady nadzorczej spółdzielni zdrowia.

Mieczysław Głuski, który dziś ma również nowy dom w Żyrzynie, brał udział nie tylko w akcji na pociąg amunicyjny pod Gołębiem, ale i we wcześniejszym ataku na pociąg urlopowy w tym samym miejscu (chodziło o zdobycie na Niemcach broni). Uczestniczył także w brawurowym uwolnieniu aresztantów z więzienia w Opolu Lubelskim. Cenna książka Stefana Rodaka-Roli „Maszerują Chłopskie Bataliony" zawiera m.in. dramatyczną relację Głuskiego o tym, jak w maju 1944 r. razem z Feliksem Głowackim, Romanem Trubasem i Józefem Wiśniewskim w biały dzień, niemal „spod nosa" uzbrojonych żandarmów, zabrali z urzędu gminnego w Gołębiu 50 tysięcy okupacyjnych złotych na cele BCh.

Prawie każdy ze starszych mieszkańców dzisiejszego Żyrzyna był w ten czy inny sposób związany z podziemnym ruchem oporu. Gdy proszę Zygmunta Zaleskiego, o którym wiem, że również uczestniczył w nim bardzo aktywnie, by przypomniał sobie jakąś ważniejszą akcję z tamtych czasów, pan Zygmunt mówi po prostu:

— Proszę pana, wszystko było wtedy akcją. Także to, że nikt tu Niemcom nie ułatwiał roboty, że we wsi był taki, jakiego myśmy potrzebowali, porządek i prawdziwa solidarność. Każdy przecież o partyzantach wiedział, ale Niemcy nie mogli się dowiedzieć od nikogo niczego. Chyba także dlatego Żyrzyn ocalał, choć cały był podminowany konspiracją, a tym samym szczególnie zagrożony represjami.

Racja. Wtedy ocalał. A teraz — nie bójmy się patosu, bo tu jest on jak najbardziej uzasadniony — kwitnie i rozwija się imponująco. Jego zaś młodzi reprezentanci pracują na różnych posterunkach współczesnego życia polskiego wszędzie. Tak jak syn Zygmunta Zaleskiego — Marcin, którego pamiętam z czasów, gdy się dopiero urodził, a który dziś kieruje ważnymi inwestycjami jako inżynier budownictwa wodnego. Lub tak jak synowie Aleksandra Deputata: jeden z nich jest inżynierem-elektrykiem w Nowej Hucie, drugi — lekarzem weterynarii, trzeci — wojskowym.

Kogo zaś uda się rodzicom i urokom samego Żyrzyna zatrzymać na miejscu, ten może po ukończeniu żyrzyńskiej szkoły podstawowej skorzystać z tego, że w dawnym „pałacu" dworskim istnieje obecnie szkoła kształcąca nowoczesnych praktyków rolnictwa.

W dawnym domu jednej rodziny ziemiańskiej — szkoła dla kilkudziesięciu przedstawicieli rodzin chłopskich. Gdybym chciał szukać wniosków politycznych, powiedziałbym, że to symbol. Ale nie powiem. I tak każdy wie.

Tadeusz Lutogniewski

Nestor pisarzy Ziem Zachodnich

CIEKAWE i bogate jest życie Włodzimierza Korsaka. Wyższe studia rolnicze ukończył w czeskim Taborze. Potem odbył wiele dalekich i pełnych przygód podróży po Europie i Azji (Szwajcaria, Francja, Belgia, Niemcy, Tadżykistan, dorzecze Syr-Darii, Kaukaz, Armenia i Persja).

Jeszcze ciekawsza jest jego twórczość, która służy kilku już pokoleniom. Złożył Korsak społeczeństwu w darze niemało — przeszło **sześćdziesiąt lat swego życia** wypełnionego po brzegi twórczą pracą nad ukazywaniem piękna ojczystej przyrody i popularyzowaniem idei jej ochrony. Od 1904 r. uczy nas dostrzegać w przyrodzie obok wartości materialnych, wielkie wartości duchowe, trudniej uchwytne.

Włodzimierz Korsak — znawca przyrody, literat, rysownik i myśliwy jest autorem: „Roku myśliwego", „Na tropie przyrody", „Ku indyjskiej rubieży", „Venatora", „Pieśni puszczy", „Darów lasu", „Leśnego ogniska", „Cietrzewia", „Z polskiej kniei", „Łosia", „Puszczy Rudnickiej", wielu artykułów publicystycznych propagujących ideę ochrony przyrody, ok. 6 tys. fotografii i setek obrazów przyrodniczych.

Od lat niemal chłopięcych kochał wielką przygodę przyrodniczą. Oko w oko spotykał się z grubym zwierzem w bezkresnych polskich i azjatyckich puszczach.

Od wczesnych lat — mówi — *interesowało mnie myślistwo i ono dało mi pierwszy impuls do pracy na polu literackim. Polując od lat bez mała dziecięcych stykałem się stale z przyrodą dzikich mateczników, wprowadzony w jej tajniki przez leśnych ludzi, żyjących z łowiectwa w bezkresnej puszczy. Obcując często z przyrodą zacząłem odczuwać jej bezbrzeżne piękno. Z początku to piękno wchłaniałem bezwiednie, potem zacząłem je rozumieć i odczuwać coraz intensywniej; zacząłem wreszcie zdawać sobie sprawę*

z tego, ile dobra i szczęścia dać może ludziom umiejętność uchwycenia i wchłonięcia w siebie tego piękna. Z tej racji stosunek mój do własnej pracy kształtować się zaczął z czasem w kierunku jej wartości dla dobra bliźnich.

Każdy wrażliwy człowiek szuka swojej wielkiej przygody życia. Taką przygodą dla Korsaka był las, myślistwo, w ogóle cała przyroda i twórczość pojęta jako służba społeczna. Dzięki temu wyrobił on sobie pewien filozoficzny pogląd na życie: przyroda jest dla niego niby świątynią, która jako naturalna poezja uszlachetnia człowieka.

Autor uważa, że *najważniejszym naszym obowiązkiem jest miłość do człowieka i przyrody. Kto pokocha przyrodę, nigdy nie będzie nienawidził człowieka.*

W pierwszych książkach Korsak kocha „krwawe łowy", rozkoszując się bezpośrednim zetknięciem z przyrodą, duchowe jej wartości stawia na plan dalszy. Ale z biegiem czasu, w miarę systematycznego i długiego obcowania z nią, strzelba staje się rzadko mu potrzebna, jej miejsce zacznie zajmować aparat fotograficzny, ołówek i notatnik. Przestał Korsak potykać się w pojedynkach ze „swoimi" zwierzętami. Bystry obserwator, świadek dziejów puszcz i zwierząt stał się leśnikiem-hodowcą, gorącym propagatorem ochrony przyrody. Wiedział przecież doskonale, jakie spustoszenia w przyrodzie zrobiła wojna i żywiołowy rozwój techniki. W świecie roślin i zwierząt zaczął dostrzegać sprzymierzeńców człowieka w jego zmaganiach o lepszy byt. Ostateczne zwycięstwo idei antropomorfizmu widzimy w zbiorze myśliwskich gawęd „Las mi powiedział".

Włodzimierz Korsak jest członkiem zielonogórskiego Oddziału ZLP i ZPP, zasłużonym działaczem LOP. Mimo swoich 81 lat w dalszym ciągu dużo podróżuje spotykając się ze swoimi czytelnikami, opiekuje się pomnikami przyrody, pisze, maluje pejzaże i wspaniałe „portrety" rzadkich zwierząt, nie zaniedbując przy tym obserwacji przyrodniczych, szczególnie ornitologicznych.

Ziemia Lubuska godnie uczciła nestora pisarzy Ziem Zachodnich. W lutym i marcu ub. roku w gorzowskim muzeum odbyła się wystawa jego prac. Zgromadzono na niej wszystkie wydania jego książek, recenzje i eseje o jego twórczości, najlepsze obrazy i fotografie krajobrazów lubuskich. Bogata całość ukazała artystyczną osobowość tego twórcy.

Jerzy Oleksiński

Herbaciana edukacja

Dokończenie ze str. 1

— Zawsze w podróż biorę własną herbatę i sam zaparzam. U nas w każdym wagonie można dostać wrzątek. Niektórzy twierdzą, że najlepszą gruzińską herbatą jest „Extra", ja przedkładam nad nią „Bukiet". To wyśmienity trunek. Zaraz się przekonasz.

Wołodia znika na chwilę i wraca z dwoma szklankami ciemnej, aromatycznej herbaty.

— Rachmat! — mówię po tadżycku i skutek jest taki, że potem długo nie mogę zasnąć. Nocą śni mi się mnich buddyjski Daruma.

Pobożny Daruma kontemplował nauki Konfucjusza, pościł i modlił się dniami i nocami. Pewnego razu, gdy czuwał przed posągiem Buddy, zdrzemnął się. Po przebudzeniu wpadł w gniew, że nie miał dość siły, by powstrzymać opadające powieki. Obciął więc je i wyrzucił. W tym miejscu gdzie padły one na ziemię, wyrosły zielone krzewy herbaty. Mnisi najstarszych klasztorów buddyjskich pielęgnowali je bardzo pieczołowicie. Wierzono, że dają siłę. Pierwotnie liście herbaty tłuczono razem z ryżem. Do tak uzyskanej masy dodawano imbiru, soli, korzeni, skórek pomarańczowych. Mieszaninę tą zalewano mlekiem. Dla smaku używano cebulę. Podają mi właśnie taką potrawkę na dziedzińcu buddyjskiego klasztoru. Rozglądam się rozpaczliwie na boki i widzę uśmiechniętą twarz Wołodi.

— Jedz, bo się obraża.

— Nie! Nie lubię mleka! — krzyczę i omal nie spadam z kolejowego łóżka.

Mijamy Kobuleti. Już tylko 34 kilometry do Batumi. Cichisdziry wyłaniają się w perspektywie okna wagonu skalistym wybrzeżem, na którego szczycie w otoczeniu zieleni palm wznosi się widoczny z daleka dom wypoczynkowy Uniwersytetu Tbilisi. Nieco dalej królestwo mandarynek, cytryn, pomarańczy. Wpadamy do tunelu i oto linia kolejowa przecina rzekę Czakwę. Na pofałdowanym terenie jak okiem sięgnąć półkoliste, strzyżone, równe rzędy srebrnozielonych krzewów herbacianych. Pochylają się nad nimi ludzie w szerokoskrzydłych słomianych kapeluszach. To robotnicy jednego z największych w Adżarii sowchozów herbacianych — czakwijskiego sowchozu imienia Włodzimierza Lenina.

To na tych polach powstała pierwsza plantacja herbaty w Gruzji. Tu przyjedziemy z Batumi dokończyć herbacianej edukacji.

Stolica Adżarskiej Republiki pachnie naftą. Powietrze jest parne. Wołodia gdzieś się zapodział. Za chwilę będzie lało. Spod cienistych alei magnoliowych nadmorskiego bulwaru uciekam do hotelu. Z południa zrywa się gwałtowny wiatr. Ulicami biegną ludzie, chronią się po domach. W chłodnej restauracji zamawiam szybko 50 gramów koniaku.

— Co wy — mówi kelnerka — chory?

— Dlaczego chory? — dziwię się i ocieram pot z czoła.

— Co to znaczy dla mężczyzny pięćdziesiąt gramów? Wypijcie sto.

— Nie, proszę pięćdziesiąt.

— Nie żartujcie! — Ucieka i przynosi kieliszek, wodę mineralną i sto gramów w karafce. W sąsiedztwie śmieje się głośno dwóch czarnych Gruzinów.

— Cudzoziemiec?

— Z Polski.

Już są przy stoliku. Poklepują mnie po plecach i wykrzykują coś po gruzińsku. Kelnerka przynosi trzy butelki wina, ćwierćlitrowe kielichy i jakąś zieleninę na półmisku. Pijemy toasty i mówimy sobie po imieniu. Na stole rośnie bateria pustych butelek. Biorę jedną z nich do ręki i odczytuję nazwę: „Twiszy". Wytrawne wino gruzińskie.

— Smakuje?

— Dobre wino — powiadam z przekonaniem.

— Ale ty pewnie wolisz koniak? Powiedz, lubisz koniak?

— Dobry koniak lubię.

— I pewnie myślisz, że najlepszy koniak radziecki to armeński?

W głowie zapala mi się czerwone światełko.

— Słyszałem taką opinię.

— A widzisz, to kłamstwo! Kłamstwo! Najlepszy koniak radziecki to koniak gruziński. Wypijmy toast za zdrowie gruzińskiego koniaku!

Na podium zasiada orkiestra i gra dziewczęce co to idzie do laseczka. Gruzini uśmiechają się.

— To wasz drugi narodowy hymn.

Na sali mignęła mi twarz Wołodi, dwie, trzy twarze Wołodi. Jakże ten Wołodia rozmnożył się w ciągu tych kilku godzin. Podchodzi do naszego stolika i palcem liczy puste butelki...

— Szukam cię od kilku godzin. Mieliśmy jechać do Czakwy.

— Wołodieńka kochany, nie pojedziemy do Czakwy. Chyba... chyba, że zorganizujesz zielonego czaju.

— Na co ci zielony czaj? Przecież masz wino.

— Zielony czaj. Wołodia jest dobry na wszystko, na grypę i na chrypę, na upał i na zimno, na ból zęba i na kaca.

— Skąd ja ci wezmę zielonego czaju? — denerwuje się. — Nie jesteś w Azji!

— A gdzie jestem, Wołodia? Gdzie jestem?

— W Gruzji jesteś. Gruzini piją czarny czaj.

— W Gruzji? To dobrze. Bardzo mi się tu podoba.

Wołodia postarał się jednak o zielony czaj. Herbata, zwłaszcza zielona, działa na organizm orzeźwiająco i pobudzająco.

Do Czakwy z Batumi jedzie się szosą na północ, tuż nad brzegiem morza. Na jedenastym kilometrze plantacje herbaty. Trudno uwierzyć, że jeszcze pod koniec ubiegłego wieku w dorzeczu rzeki Czakwy gniły malaryczne wody bagienne. A przecież tu właśnie rozpoczęła się kariera gruzińskiej herbaty i jej triumfalny pochód wzdłuż wybrzeża Morza Czarnego, w górę rzek Inguri i Rioni.

Pierwsze próby aklimatyzacji herbaty na Krymie w 1833 roku nie powiodły się. Później sadzono herbatę w Abchazji i Adżarii, w Suchumi i Ozureti. Też bez skutku. Namiestnik Kaukazu książę Woroncow pisał wówczas do ministra Kisielewa: „Uważam za swój obowiązek dorzucić, że moim zdaniem krzew herbaciany w tutejszym kraju pożytku nigdy przynosić nie będzie, ale skoro pan sobie życzy, aby dokonane zostały dalsze próby, trzeba zamówić w Chinach inne nasiona, lepsze, a wtedy spróbujemy je posadzić".

Kisielew wypowiedział się kategorycznie za przerwaniem doświadczeń, jako że już trzy razy kupowano nasiona, a wyników nie było żadnych. Przyczyna tego była prosta. Chińczycy w obawie przed konkurencją sprzedawali Rosjanom wyjałowione nasiona.

Obecnie w Gruzji uprawia się herbatę na 62 tysiącach hektarów. Daje ona 95 proc. produkcji ZSRR. Mają Azerbejdżanie czarne złoto, Uzbecy — białe, a Gruzini — zielone — złote runo Kolchidy.

Liście herbaty przedstawiają różną wartość w zależności od położenia na gałązce. Najcenniejsze są pączki liści tuż przed rozwinięciem, tak zwane flesze. Zrywa się je ręcznie i ważną rzeczą jest wiedzieć, w którym miejscu przeciąć łodyżkę paznokciem.

Został nam jeszcze ostatni etap: fabryka. O drogę nie trzeba pytać. Jedziemy za wielkimi samochodami załadowanymi skrzyniami z herbacianymi liśćmi. Czakwijska Fabryka Herbaty Nr 1 usadowiła się nad rzeką. Parterowy budynek administracji, wybetonowany dziedziniec i główny gmach nie przypominają wcale fabryki w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, raczej biurowiec lub co najwyżej magazyny. Dookoła kwiaty i ozdobne krzewy.

Robotnicy stawiają skrzynie z herbatą na stole magazyniera. Ten zanurza na chwilę rękę w liściach, przebiera palcami i decyduje do jakiego gatunku zaliczyć tę partię. Za sekundę liście, wysypane na transporter, odjeżdżają na górne piętro gmachu.

Wychodzi do nas główny technolog fabryki, kobieta.

— Oczywiście — powiada — wszystko zależy od gatunku krzewu, rodzaju liści, miesiąca zbiorów i tak dalej. Decydujący jednak jest sam proces przeróbki surowca.

Na samym końcu mojej herbacianej edukacji dowiem się — i to już od kogoś innego — że najważniejszą rzeczą jest proces umiejętnego zaparzania herbaty. Partacz potrafi zniszczyć najlepszy gatunek. I to też będzie prawda.

Teraz postępuję za panią inżynier do pomieszczenia, w którym wirują jakieś zbiorniki. Powietrze jest suche. W tych zbiornikach liście herbaciane poddane są procesowi więdnięcia. Tracą około 40 procent wilgotności i stają się elastyczne. Przesuszoną, skręconą herbatę o zgnilozielonym kolorze ludzie nakładają do płytkich drewnianych skrzynek, które przewozi się do sąsiedniego pomieszczenia. Na podłodze woda. Wreszcie jest czym oddychać. Skończyła się męcząca suchość w gardle.

— Tu zachodzi kolejny proces produkcji herbaty — mówi pani technolog — fermentacja. Trwa ona od 5 do 6 godzin w warunkach stuprocentowej wilgotności powietrza. W komorach fermentacyjnych bez przerwy rozpylana jest woda. W czasie fermentacji następuje ściemnienie listków, spowodowane częściowym utlenianiem się garbników, powstają związki zapachowe. Im dłuższa fermentacja, tym herbata potem lepiej naciąga. I to już byłoby wszystko najważniejsze. Jeszcze tylko 45 minut suszenia w temperaturze 120 stopni C. Przerywa ono fermentację i zmniejsza zawartość wody w herbacie do około 3 procent.

Ostatni etap to sortowanie i ocena produktu przez kiperów. Fabryka zatrudnia 120 ludzi, pracuje na trzy zmiany i dzienną normę 30 ton herbaty przekracza systematycznie o 20 ton. Cztery kilogramy zielonych liści dają 1 kilogram herbaty.

Teraz jestem mądry. Wiem, że czarna herbata powstaje podczas całkowitej fermentacji, zielona nie jest w ogóle fermentowana, a „Ulung" częściowo fermentowana (najgorsze są zawsze półśrodki). Robi się też herbaty specjalne: cegiełkowe, płytkowe, perfumowane, z dodatkiem lauru, jaśminu, kamelii.

Jak smakują te ostatnie nie wiem, nie piłem. Za to wieczorem, kiedy po pracowitym dniu wróciliśmy do hotelu i zaszliśmy do restauracji, kelnerka podając nam kolację powiedziała:

— Szef kuchni cieszyłby się, gdybyście przyjęli jego zaproszenie. Chciałby ugościć was herbatą.

Przyjęliśmy zaproszenie z ochotą. Miał to być ostatni etap mojej herbacianej edukacji. Po chwili zjawił się szef w białym fartuchu i takiejże czapie. Przywitał się do-

Tropem ludzi majora Hubala

Co się stało z Tereską?

Mirosław Derecki

JEST druga połowa października 1939 r. Do wsi Zychy w powiecie koneckim przybywa oddział wojska polskiego pod dowództwem Henryka Dobrzańskiego — „Hubala". Grupa 120 jeźdźców ze 102 i 110 pułku ułanów miesiąc temu wyruszyła z Puszczy Augustowskiej na pomoc oblężonej Warszawie. W Krupkach pod Warszawą żołnierze dowiedzieli się o kapitulacji stolicy. Wówczas dowódca postanowił przebijać się ku granicy węgierskiej, nikogo jednak nie zmuszając do pozostania przy sobie. Zdecydowało się siedemdziesięciu. Przeprawili się przez Wisłę pod wsią Maciejowice, ok. 30 km na północny zachód od Dęblina, gdzie stoczyli pierwszą potyczkę z Niemcami. Potem ruszyli przez Puszczę Kozienicką w kierunku Gór Świętokrzyskich. Dobrzański po namyśle zmienił pierwotny zamiar: postanowił zostać w kraju i czekać na spodziewaną wiosenną ofensywę francuską. Otoczony przyjaźnią ludności i opieką służby leśnej, oddział posuwa się na południe. Tropiony przez Niemców stoczył kilka zwycięskich potyczek, ale i sam poniósł straty. Część ludzi zginęła, część odeszła do domów. Kiedy Hubal dotarł do Zych, miał już tylko 10 ludzi. Oni właśnie stanowili zaczątek wojskowo-partyzanckiego Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego. Byli to: kpt. dypl. Maciej Kalenkiewicz — „Kotwicz", por. Feliks Karpiński — „Korab", ppor. Modest Iljin — „Klin", pchor. Leon Gołko, plut. Józef Alicki, plut. Romuald Rodziewicz — „Roman", Zakrzewski (nie zapamiętano imienia), kapral Fronia, kpt. Józef Grabowski — „Pomian" oraz pchor. Zygmunt Morawski — „Bem".

W Zychach Hubal stanął na kwaterze w gajówce u Jana Barana. Tutaj zaczął myśleć poważnie nad stworzeniem potężnej siatki konspiracyjnej, opartej na zasadach wojskowych. Powstał wówczas schemat organizacyjny tej siatki [1]). Wkrótce na czele placówki w Zychach stanął gajowy Baran — „Dąbrowski", zaś komendantem na „obwód radoszycki" został nauczyciel z Radoszyc, Stoiński — „Brzoza".

W Zychach zostają wydane pierwsze ulotki — odezwy o treści patriotycznej, pisane na maszynach wziętych z urzędu gminnego w Radoszycach. Ściśle współpracują z oddziałem okoliczni chłopi i mieszczanie, M. in. miszkańcy wsi Lipa — Roman Sowiński, Władysław Florczak i Mikołaj Antosik. Krawiec z Radoszyc, Wacław Wilczyński, szyje mundury. Pod koniec pobytu w Zychach Hubal wysyła do Kielc por. Karpińskiego, aby nawiązał łączność z tamtejszym dowództwem Okręgu Służby Zwycięstwa Polski.

Na początku listopada — po ośmiodniowym pobycie w Zychach — oddział przerzuca się kilkanaście kilometrów na wschód, do wsi Cisownik na skraju Puszczy Świętokrzyskiej, a stamtąd rusza na północ, w rejon Opoczna, do lasów spalskich. Tam odbyła się pierwsza wojenna wigilia Hubalczyków [2]). W Zychach dołączyło do oddziału jeszcze pięć osób: por. Marek Szymański — „Sęp", kpr. Franciszek Głowacz — „Lis", st. strzelec Marian Kaczorowski — „Gruszka", Jerzy Szkodziński — „Sokół", oraz... dziewczyna z pobliskiej wsi Budy, dwudziestodwuletnia Marianna Cel, której nadano pseudonim „Tereska".

•

Wańkowicz określił ją mianem chłopskiej Joanny d'Arc. Niech i tak będzie, chociaż Teresce ani w głowie nie było stawanie na czele zbrojnej krucjaty przeciw zaborcom. Współtowarzyszom broni też nie jawiła się nigdy jako przewodniczka duchowa czy orędowniczka ich zbrojnego czynu. Przyjęto ją trochę z fantazji, że: „będą nawet baby z Niemcami wojowały", trochę dla świętego spokoju, aby nie słuchać proszących lamentów (na pierwszym, drugim postoju wróci do domu i kłopot z głowy) i wreszcie trochę dlatego, że nie miał kto gotować i szyć dla oddziału. Talenty łączniczki i wywiadowcy miała Tereska ujawnić dopiero później.

Na razie była to nieco zastrachana, czarniawa, przystojna dziewczyna z zagubionej w lasach wioski. Traktowano ją jak równego sobie, dobrego kolegę, choć wkrótce okazało się, że „kolega" potrafi, gdy trzeba, przeistoczyć się w niezłą „jędzę". Tereska była dziewczyną z charakterem. To właśnie pozwoliło jej przetrwać osiem miesięcy w lesie, przewozić rozkazy i dokumenty, iść na Niemców w pierwszym szeregu z pistoletem w dłoni. W historii Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego bezustannie miga postać Tereski. Gdy ludzie zmieniają się ciągle, gdy jedni załamują się, inni poddając się presji władz ZWZ opuszczają oddział, na każdym następnym etapie z luk historii Hubalczyków znów wyłania się imię Tereski. Ze spokojną chłopską zaciętością dziewczyna kontynuuje służbę. Nie stworzono dla niej specjalnych praw ani przywilejów, nikt nie bawi się w sentymenty. Ona sama zaś wie, że gdy źle wykona rozkaz, z ust przełożonych posypią się cholery. Ale właśnie tak jest dobrze i tak być powinno. Bo Tereska nie jest w oddziale gościem tylko żołnierzem.

Talenty Tereski ujawniły się wkrótce po przyjęciu jej do oddziału. Wysłana z Zych z listem do matki majora w Krakowie, dziewczyna, która nigdy w życiu nie wysunęła nosa poza zabitą deskami kielecką wioskę, spisała się znakomicie. Bez trudu ominęła niemieckie placówki, oddała przesyłkę i wróciła w oznaczonym czasie. Potem właśnie ona wyszukała spokojną wieś Cisownik na kwaterę. Traf chciał, że właśnie tam niespodziewanie naszli Hubalczyków Niemcy. Tutaj po raz pierwszy objawił się jej szybki refleks. Gdy żołnierze podczas strzelaniny potracili na moment głowy, Niemcy, którzy wpadli do jednej z chat zastali Tereskę... spokojnie siedzącą na łóżku z wrzecionem w dłoni. Pod łóżkiem leżały dokumenty oddziału. Dziewczyna miała na tyle zimną krew, że pomogła nawet opatrzyć rannego niemieckiego oficera.

W okresie koncentracji oddziału w Gałkach Krzczonowskich Tereska wielokrotnie wyjeżdża do okolicznych miejscowości jako kurierka. 30 marca, podczas bitwy pod Huciskami, idzie w pierwszym szeregu skrzydła, nacierającego pod dowództwem Henryka Ossowskiego — „Dołęgi". Potem strzela do Niemców w bitwie pod Szałasami. Wreszcie, przedzierając się z okrążenia, konno, razem z Hubalem i wachmistrzem Rodziewiczem [3] zamyka odwrót oddziału.

Dziewczyna załamuje się psychicznie tylko jeden raz. Wówczas, gdy po wyjściu z okrążenia pod Szałasami uwielbiany przez nią kapelan, ksiądz Ludwik Mucha, dostaje ciężkiego ataku histerii spowodowanego napięciem nerwowym ostatnich dni. Ale już wkrótce Tereska wsiada na rower i jedzie przez pół Kielecczyzny, w Góry Świętokrzyskie, w poszukiwaniu oddziału piechoty, który pod dowództwem „Sępa" przebijał się spod Szałasów w tamten rejon. Z powrotem dotrze do resztek oddziału konnego, do leśniczówki w Dębie koło Opoczna, tuż po śmierci Hubala, po drodze trzy razy przyłapana przez Niemców, w tym raz prowadzona już na rozstrzelanie. To ona pierwsza potwierdzi jako naoczny świadek wiadomość o śmierci majora. Mimo ogromnego wyczerpania fizycznego i nerwowego, w dwa dni później Tereska jeszcze raz wyrusza do wioski Poświętne, gdzie widziała leżące na niemieckiej ciężarówce zwłoki Hubala, aby u byłego żołnierza oddziału, Józefa Matuszczaka, zasięgnąć dokładniejszych wiadomości [4]). I wreszcie 23 czerwca 1940 r. uczestniczy w ostatniej zbiórce oddziału.

Koncentracja oddziału w Gałkach Krzczonowskich, luty 1940 r. W pierwszym rzędzie, od lewej: bosman-mat (obrońca Helu) Józef Woźniak — „Sokół", plut. Józef Lewandowski — „Lech" (d-ca plutonu podchorążych), Adam Bartczak — „Sosna", „Czarny" (łącznik z Tomaszowa Mazowieckiego), ppor. Antoni Kubisiak — „Leszczyna", Marianna Cel — „Tereska"

stojnie, przedstawił i bardzo poważny zasiadł za stołem.

Oświadczył, że jest Gruzinem, w czasie ostatniej wojny walczył z Niemcami, był w Polsce i jest szczęśliwy, że może mnie gościć, tym bardziej iż słyszał, że interesuję się herbatą, a gruzińska herbata jest najlepsza w świecie i on pragnie mi to udowodnić.

Jakoż na stół wjechała w tej chwili butelka koniaku i kawior.

— Wy goście, a ja tamada. Słowo tamady święte. Herbatkę wypijemy na deser.

Kiedy wreszcie zjawiła się herbata, miała miedziany, lekko przyciemniony kolor, zachwycający aromat i cierpki, przyjemny smak.

— Jedni uważają — mówi szef — że najważniejsza rzeczą jest pielęgnacja plantacji, inni, że produkcja w fabryce, a ja wam, towarzysze, oświadczam uroczyście: najważniejsza rzeczą jest umiejętność parzenia herbaty.

— Jak?

— Powiem ci, przyjacielu — nachylił się do mnie. — Bardzo prosto. Książka kucharska powiada, że czaj trzeba parzyć z pałatieńcem.

Słyszałem o piciu herbaty z ręcznika. Polega ono na tym, że pije się herbatę gorącą, prawie wrzątek, a ręcznikiem ociera się pot z czoła. Nie słyszałem jednak o parzeniu herbaty z ręcznikiem.

— Całkiem serio — ciągnął szef. — Wyparza się imbryk, koniecznie porcelanowy, nasypuje do niego herbaty, zalewa wrzątkiem i na pięć minut okręca ręcznikiem. Do szklanek nalewa się dwie trzecie naparu i jedna trzecia wody. Herbata musi mieć 70 stopni. Tak to właśnie robię. Od siebie dodałem tylko małe ulepszenie. Przed wrzuceniem herbaty do imbryka kładę ją do sitka i zlewam zimną wodą. Ot i wszystko.

Przepis ten przekazuję wszystkim herbaciarzom. Z jednym zastrzeżeniem: cała operacja na nic, jeśli woda nie będzie zdrowa i smaczna.

Wiesław Wodecki

Jerzy Księski

* * *

Włodzimierzu Majakowski!
Nie bądźcie tacy mądrzy:
Z anielskiego piekła cóż za widok!
Binokle gwiazd znów przesłoniły oczy
i czekacie, aż Maria o czwartej...
nie przyjdzie.

Tak nie można!
Noc zamieniać w dzień,
we dnie łasić się do ramion nocy:
Tysiąc smutków, dwie radości — wiem.

W progu staje gdzieś koło północy
zaproszone na herbatę słońce:
— To spóźnienie poeto wybaczcie,
znów herbaty poeto zaparzcie...

A potem długo, bardzo długo
nie dają zasnąć najzwyklejsze zwrotki.
„Jeśli serce jest wszystkim,
to po cóż
było ciułać najdroższe pieniążki...”

Rzeka pluszcze...
Ze wzgórz pochyłych
schodzi księżyc jak nocny myśliwy:
W kałamarzu nadzieja i rozpacz.

Latarniom światła wciąż przybywa

Latarniom światła wciąż przybywa,
a nam odwiecznej szczęśliwości.
Tak nie jest zawsze. Ale bywa;
Latarniom światła wciąż przybywa
a nam dobroci i miłości

Idziemy drogą w złym milczeniu,
pasmo powietrza nas oddziela.
Czy z tobą, czy też w twoim cieniu
wciąż idę drogą w złym milczeniu,
czy ty mojego szukasz cienia.

Szerokie koło, błękit nieba...
Nie starzejemy się... Niezmienni
słowa łakniemy niby chleba,
dłoni szukamy kiedy bieda,
powtarzalności dni codziennych.

Latarniom światła wciąż przybywa,
a nam doświadczeń i marzenia.
I niechaj nawet jest jak bywa...
Byleby była nam szczęśliwa,
Droga najdroższa, wspólna ziemia.

Śniadeccy

Zapatrzony w dwa ciemne jeziora
niby północ w godzinę dwunastą,
odgarnąwszy czuprynę mgły z czoła
wolnym krokiem szedł księżyc przez miasto.

Na ulicy pochyłej dwa cienie:
Dobry wieczór profesorze Janie!
Znowu nocą z doktorem Jędrzejem
pod murami idziecie ku bramie.

Bramy nie ma. Pozostały ślady
niezdeptanej kamiennej ścieżki
i te same gwiazd lśniących układy,
które znasz już — profesorze Śniadecki...

Twarze — niby przez okno przymknięte
patrzą w dół z brązowej tablicy,
tam, w Gimnazjum, na pierwszym piętrze,
niedaleko waszej ulicy.

W starych murach rdzewieją zegary,
„Wielki wóz” nad chmurami jedzie:
Dla nauki świat jest za mały,
Filozofom ciasno bywa w świecie.

Jan Śniadecki przystanął skupiony
niby fala przypływu w brązie wyrzeźbiona.
Jędrzej — patron szpitala odszedł niespokojny
otulając opończą lekarską ramiona.

Księżyc wspiął się na dachy po rynnach
omijając kominów popielate sny,
Żnińską basztę wydłużył... Drżąc z zimna
pstry kapelusz uchylił świt.

Połatane podwórko

Zwykły dom z solidnego drzewa,
zmurszałego płotu stare żebra...
Nas w tym domu od dawna już nie ma,
lecz poza tym niczego tu nie brak.

Śmieszna studnia, połatane podwórko
— targ codzienny na psie szczekania;
Otulony wspomnieniem jak burką
starą czapką znów czoło przesłaniam.

Udeptana kamieniami ścieżka
i nasturcji liście zakurzone
Ktoś w tym domu mieszka i nie mieszka,
Ktoś z oddali patrzy w jego stronę.

Spoza miedzy pachnie ścierniskami,
ogniskami, łąką, tatarakiem.
Słoneczniki żółkną pod ścianami
jak pieczęcie z rodowodu znakiem.

Stąd, gdzie wszystko zwyczajne jak chleby,
stąd niejeden z nas w świat się wybierał.
Drogi były bogate w biedy...
Dom znów ujrzysz, gdy będziesz umierał.

Ujrzysz niedomknięte okno, cień na ścianach
tańczący konarem lipowego drzewa,
Zobaczysz pod płotem psa, co śpi w łopianach,
i usłyszysz z pola, jak zboże dojrzewa.

Zardzewiała miłość i troski powszednie...
Wszystko jest jak było. Nie ma tylko ciebie.

---

*

Na tym kończy się żołnierski życiorys Marianny Cel — Tereski, a wraz z nim pisane wiadomości o jej dalszych losach. Dotychczasowe, skromne zresztą objętościowo opracowania dotyczące Hubalczyków [5]), urywają się w momencie rozwiązania oddziału. W pamięci żyjących jeszcze dzisiaj żołnierzy pozostało dla Tereski tyle samo miejsca, co dla innych towarzyszy broni. Jak inni po rozwiązaniu oddziału przeszła do konspiracji i wtedy kontakty urwały się. Niewiele też wiadomo o jej życiu osobistym. To w oddziale liczyło się najmniej. Próbuję więc dotrzeć do osób, które znały nie „Tereskę”, ale Mariannę Cel ze wsi Budy w pow. koneckim.

* * *

Od Radoszyc dobra szosa skończyła się. Trząsłem się „Warszawą” po zaniedbanej „szutrówce” w kierunku Rudy Malenieckiej, wyglądając przydrożnej kapliczki, przy której należało skręcić na lewo w polną drogę do Zych.

Gajówka Zychy stoi na skraju lasu. Nie jest to znany mi z zachowanego zdjęcia Hubalczyków przysadzisty, drewniany budynek pod strzechą, ale nowy, wygodny domek, umeblowany „po miejsku”. I mieszkańcy nie ci sami, Jan Baran dawno opuścił gajówkę. Ale w sąsiednim obejściu żyje dotychczas naoczny świadek wydarzeń sprzed dwudziestu dziewięciu lat.

Feliks Ruszkiewicz był w 1939 r. młodym chłopakiem. Pamięta przyjazd brodatego majora i jego ludzi. Dom Ruszkiewicza stoi naprzeciwko gajówki, z okien widać doskonale dziedziniec. Na tym dziedzińcu Ruszkiewicz któregoś dnia zobaczył wśród żołnierzy znajomą dziewczynę z pobliskiej wsi Budy, Mariannę Cel. Odtąd Marianna przybiegała codziennie do gajówki, pomagała przy kuchni, szyła, cerowała. Nie było w tym nic dziwnego, bo wielu ludzi z okolicy odwiedzało oddział, sporo dziewczyn kręciło się wokół obejścia. Za Marianną przybiegał jej młodszy brat Janek, zachodził też do gajówki narzeczony Marianny, Antek Barcicki z Miotkowic. Kiedy oddział odszedł z Zych, przestała pojawiać się także Marianna. W kilka dni później rozeszła się po wsi wiadomość, że przyłączyła się do Hubalczyków. Była to dla miejscowych ludzi nowina zaskakująca tym bardziej, że Barcicki został w swojej wsi. Popłotkowano trochę, ale w końcu uznano, że najprawdopodobniej Barcicki został na razie na miejscu jako agent oddziału. Wieś utwierdziła się w swych domysłach, gdy wkrótce Niemcy aresztowali Barcickiego i Janka Cela, osadzając ich w więzieniu w Końskich. Tam widział ich wyglądających przez kraty — Ruszkiewicz. Potem do Zych dotarła wiadomość, że obu aresztowanych rozstrzelano.

O Mariannę Cel przepytywali Niemcy później jeszcze nieraz. Wówczas to mieszkańcy Zych dowiedzieli się, że dziewczyna przybrała w oddziale pseudonim „Tereska”. Wreszcie i Niemcy dali spokój i postać Marianny zaczęła się powoli zacierać w pamięci jej kolegów i znajomych. Ona sama postępowała tak, aby ślad po niej zaginął. Od listopada 1939 r. nie pojawiła się więcej we wsi.

*

Przez leśne wertepy, zawadzając co chwilę podwoziem o pniaki, z obawą, że za chwilę utkniemy po osie w ledwie zamarzłych grzęzawiskach, przez które wiodła droga, dotarliśmy na rozległą leśną polanę. Stało na niej kilkanaście wiejskich zabudowań. Kolonia Cis. Po drugiej stronie polany czerniała oddzielona nieco od reszty niewielka grupa domów. To właśnie była dawna wieś Budy, obecnie przysiółek włączony do kolonii. Miejscowy sołtys wskazał na ostatnią w przysiółku, graniczącą już z lasem niską, krytą strzechą chatę. To był właśnie dom Tereski.

*

W izbie, przy kominie, siedziała stara, pomarszczona kobieta w wyświechtanych spodniach od „fufajki”, opatulona w wielką wełnianą chustkę. Na rozłożystym, ale zimnym piecu, harcowały koty. Kiedy zapytałem o Mariannę Cel, posadziła mnie obok stołu okrytego paradną szydełkową serwetą, podsunęła wielką szklaną popielniczkę, a potem... pociągnęła się długa, trochę nieskoordynowana opowieść.

Marianna była jednym z czworga dzieci Franciszka i Bronisławy Celów. Najpierw przyszła na świat Zofia, potem Janina, następnie Marianna, a wreszcie jedyny syn, Jan. Franciszek Cel zmarł w sile wieku. Bronisława wyszła za mąż za jego brata Wincentego, a gdy i ona zmarła, wdowiec ożenił się po raz drugi. Tą drugą żoną była moja rozmówczyni, dziś 64-letnia Marianna Cel, macocha małej Marianny, późniejszej „Tereski”.

Oto jej niepełne wspomnienie o Teresce, lekko tylko skorygowane przez reportera:

Spośród innych dzieci Marianna wyróżniała się fantazją. Nie można jej było utrzymać w domu. Od najmłodszych lat włóczyła się po lasach, sobie tylko wiadomymi „skrótami” potrafiła przez lasy, bagna, dotrzeć do okolicznych miejscowości. Znajomość okolicy przydała się jej we wrześniu 1939 r. kiedy wyprowadzała żołnierzy polskich z niemieckiego okrążenia. Do wojny, po skończeniu siedmiu oddziałów w Lipie, pracowała w gospodarstwie ojczyma. Szykowała się do ślubu z Barcickim.

Żywiła szczególną nienawiść do okupantów. Raz, gdy kopały ziemniaki, macocha z trudem powstrzymała Mariannę przed ciskaniem kamieniami w przechodzący obok oddział niemiecki. „Ona była taka, że nie mogła zboleć Niemców. Ja płakałam: Marysia, co ty wyprawiasz, siebie narażasz i na nas ściągniesz nieszczęście. Jak w trzydziestym dziewiątym przyszedł do Zychów polski major, od razu tam poleciała. Antek się od niej też zaraził tym wojskiem. Jak dzisiaj pamiętam — on do niej powiedział: „Marysiu, żebyś ty mnie tak wtarła do tej partyzantki...” Ja na nią zaczęłam krzyczeć, ale czy młody kiedy starego posłucha? Jak major odszedł w lasy, to i Marysia znikła z domu. Potem Niemcy przychodzili coraz do chałupy, o tu, na środku mieszkania jeden mnie bił i kopał i pytał: co z Maryśką, gdzie twoja córka Marysia, gdzie Tereska? A czy ja mogłam wiedzieć, gdzie ona? A jakbym i wiedziała, to bym też nie powiedziała. Potem już dali nam spokój. I właśnie wtenczas pojawiła się Marysia. Musiało być gdzieś pod koniec czerwca czterdziestego albo czterdziestego pierwszego roku. Mój mąż wstał do dnia, wyszedł przed dom, patrzy, a na skraju lasu stoi Marysia i daje mu znak białą chusteczką. To podszedł do niej — do domu bała się wchodzić — pogadali chwilę, ona się pożegnała i od tej pory już żeśmy jej nie oglądali. O czym wtenczas rozmawiał mój mąż z Marysią, już dzisiaj nic nie pamiętam”.

Marianna Cel została sama na gospodarstwie. Mąż umarł, dzieci rozpierzchły się po Polsce, większość pracuje w łódzkich fabrykach. Stara kobieta gospodarzy samotnie na dziewięciu hektarach, nie chce zamieszkać u córek, kurczowo trzyma się ziemi, która w połowie leży odłogiem. W izbie stoi pięć wysoko zasłanych łóżek, na których już nikt nie śpi.

* * *

Rozmawiając z kurierką Hubalczyków — „Ludką”, panią Ludmiłą Żero z Warszawy, zapytałem ją m. in. o Tereskę. I wtedy okazało się, że po rozwiązaniu oddziału Tereska przez dłuższy czas mieszkała w Ząbkach pod Warszawą w domu Ludki. Oto wizerunek Tereski z tych czasów:

Bystra, wesoła, zawsze roześmiana, w każdej wolnej chwili spędzająca czas nad książką, zaskarbiła sobie wielką sympatię opiekunów. Często jednak zapominała, że nie jest w lesie i z okupantami poczynała sobie tak, jak zwykli czynić członkowie Oddziału Wydzielonego.

W Ząbkach mieszkał folksdojcz Kazimierczak. Do jednej z jego specjalności należało przeprowadzanie „rewizji”, które polegały po prostu na rabowaniu napotkanych osób. Kiedyś Kazimierczak napatoczył się na Tereskę jadącą na pożyczonej od Ludki „damce”. Natychmiast postanowił przywłaszczyć sobie piękny, nowy rower. Ale trafił na Tereskę. Po chwili szamotania dziewczyna zdzieliła napastnika w zęby tak, że aż się przewrócił, dołożyła mu kilka tęgich kopniaków i zadowolona pojawiła się w domu ze słowami: „Cholera by to wzięła! (to był ulubiony jej zwrot wyniesiony z oddziału). Jakiś Niemiec chciał mi zabrać rower, ale tak go pchłam, że aż się wykopyrtnął”. Na Żerów padł blady strach. Obawiali się zemsty folksdojcza. Istotnie, następnego dnia Kazimierczak z obwiązaną twarzą złożył im „wizytę”. Jakoś go udobruchano.

Teraz zaczyna się najmniej znany okres życia Tereski. Z Ząbek przeniosła się we wrześniu 1940 r. do siostry Henryka Ossowskiego — „Dołęgi”, adiutanta Hubala, do Warszawy, na ul. Dziką 22. Przebywała tam do listopada. Kontaktowała się jednak nadal z Ludmiłą Żero, która twierdzi, że Tereska została kurierką ZWZ na trasie Warszawa — Lwów. Miała jakoby kilkakrotnie przekraczać granicę i raz nawet została schwytana przez Niemców, ale z właściwym sobie sprytem wydostała się na wolność. Potem znowu podjęła podróże na tej samej trasie. Któregoś dnia Ludka otrzymała od niej kartkę z Przemyśla, w której dziewczyna donosiła że ma... trudności. (Najprawdopodobniej trudności z przekroczeniem granicy). Wreszcie Ludmiłę doszły wieści, że Tereska została schwytana, osadzona w więzieniu na Brygidkach we Lwowie i tam rozstrzelana przez Niemców. Wersja ta pokrywa się jednak zbytnio z podobnymi losami siostry Ossowskiego i dlatego należy postawić przy niej znak zapytania.

Henryk Ossowski w rozmowie ze mną zaprzeczył kategorycznie, jakoby Tereska należała do ZWZ i pełniła funkcję kurierki. Jego rodzina była związana z tą organizacją. Tereska mieszkała u Ossowskich i wiedziała o ich działalności, a więc nie miałaby chyba tajemnic dotyczących tej samej organizacji. W listopadzie 1940 r. Tereska oświadczyła mu, że musi koniecznie wyjechać, nie podając jednak przyczyny ani celu podróży. Ossowski przypuszczał, że dziewczyna spodziewa się dziecka, nie chce się z tym zdradzić i ma zamiar odbyć poród gdzieś na prowincji. Nie wyklucza jednak możliwości, że Tereska mogła związać się z jedną z licznie powstających wówczas organizacji podziemnych i wysłana na jakąś akcję zginęła. W każdym razie po tym nagłym wyjeździe Tereski rodzina Ossowskich straciła z nią na zawsze kontakt.

W latach powojennych przyjaciołom Tereski zaświtała na moment nadzieja, że dziewczyna przetrwała okupację. Któregoś dnia Ossowski oglądał polski film „Kolorowe pończochy”. Jedną z głównych ról grała młoda aktorka, uderzająco podobna do Tereski, nazywała się zaś Magdalena Celówna. Odszukano jej matkę, ale trop okazał się fałszywy. Nie miała ona nic wspólnego z rodziną Celów z Bud koło Radoszyc.

* * *

Tak więc historia Tereski pozostaje niedopowiedziana. Pierwsza polska dziewczyna — partyzant podzieliła los milionów ludzi, którzy w odczuciu bliskich osób ciągle pozostają wśród żywych. Uznano ich tylko za zaginionych. A to przecież jeszcze nie przesądza sprawy.

Po Teresce, oprócz pamięci, pozostały dwie fotografie. Obydwie zrobione w lutym 1940 r. w Gałkach Krzczonowskich. Na jednej jest ubrana po cywilnemu. Z biegiem lat fotografia straciła wyrazistość, widać tylko zamglony owal twarzy dziewczyny. Na drugim zdjęciu roześmiana twarz Tereski zachowała się wyraźnie. Los zrządził, że właśnie na tym zdjęciu widzimy Tereskę w mundurze, o którym tak bardzo marzyła i który tak rzadko — jako kurierka — mogła przywdziewać.

[5]) Obszerniejszym materiałem dotyczącym wspomnianego schematu organizacyjnego dysponuje M. Markowski, kierownik Referatu Historii Partii przy KW PZPR w Kielcach.

[6]) O wigilii tej pisałem w 26 nrze Kameny z 22.XII.1968 r. w reportażu pt. „Pamiętna noc”.

[7]) Kapral Rodziewicz w grudniu 1939 r. otrzymał awans na wachmistrza.

[8]) Ten ostatni fakt podaję na podstawie rozmowy z Marianem Matuszczakiem, bratem Józefa, wówczas kilkunastoletnim chłopcem, obecnie przewodniczącym PGRN w Poświętnem.

[9]) Marek Szymański „Sęp” — cykl artykułów poświęconych oddziałowi Hubala, publikowanych w WTK w 1966 r. Melchior Wańkowicz — „Hubalczycy”, Bogdan Hillebrandt — „Partyzantka na Kielecczyźnie 1939—1945”, J. Piórkowski — „Polska” nr 8 z 1966 r. oraz drobniejsze artykuły rozsiane na przestrzeni ostatnich lat w gazetach i czasopismach.

Odważna inicjatywa

Maria Bechczyc-Rudnicka

C. K. Norwid: „Kleopatra". W roli tytułowej Adela Zgrzybłowska, Cezar — Krystyn Wójcik. (Fot. W. Parys)

SĄ fakty sceniczne, które trafiają jedynie do statystyki teatralnej, i są takie, co zyskują miejsce w dziejach TEATRU, do tych ostatnich należy niewątpliwie wystawienie na lubelskiej scenie dramatycznej — „Kleopatry" Norwida.

I tu wszakże odegrała swoją rolę cyfra, lubelska bowiem premiera jest dopiero czwartą z kolei próbą oswojenia widza i słuchacza z trudnymi treściami pięknej Norwidowej „tragedii historycznej w 3 aktach". Powiedzmy ściślej: próbą piątą czy szóstą, jeśli się weźmie pod uwagę fragmentaryczne inscenizacje krakowskiego Teatru Rapsodycznego. Tak czy owak, godzi się zaznaczyć na wstępie, że z samej już tej niewielkiej liczby porządkowej spływa na Lublin nie lada splendor.

Teatr im. J. Osterwy wystawił „Kleopatrę" w adaptacji swego kierownika artystycznego, Kazimierza Brauna.

Żyjemy w złotym wieku adaptacji, ogarnia ona coraz rozleglejsze obszary teatru, filmu, telewizji, ba — muzyki! Lecz jakkolwiek smętne snułoby się czasem refleksje na temat jej niepohamowanej ekspansji, wypadnie ich zaniechać w konkretnym wypadku, który nas w danym momencie zajmuje. Zaniechać dlatego, że wystawienie „Kleopatry" bez dopracowania dramaturgicznego naraziłoby przytłaczającą większość dzisiejszych widzów na nienadążanie percepcyjne za dialogiem Norwida, bardzo, jak wiadomo, hermetycznym na skutek żarliwego poszukiwania wyrazu poetyckiego dla doznań opornych słowu. Owszem na pewno adaptacja była nieodzowna, pozostaje tylko pytanie, w jakiej mierze osiągnęła cel, tudzież kwestia strat i zysków.

Obok norwidologii istnieje — słusznie to stwierdził Maciej Żurowski — norwidomania. Można by do tego dodać norwidofobię i norwidofilię. Kazimierz Braun jest norwidofilem, penetrującym dociekliwie Norwida od strony teatralnej, opierającym swoje ujęcia sceniczne na autorytecie konsultantów — norwidologów. Toteż lubelska premiera „Kleopatry" jest owocem poważnych badań, przygotowań, rzec można, długofalowych i trudno byłoby znaleźć w tej inscenizacji bodaj nawet drobny szczegół wprowadzony pochopnie, bez gruntownego przemyślenia. A przecie to i owo w naszym reprezentacyjnym spektaklu nie wydaje się przekonywające.

Przede wszystkim niekoniecznie musi być obskurantem widz, w którym same idee Norwida zawarte w „Kleopatrze" nie znajdują pełnego rezonansu. Ktoś zapyta: „Może to sprawa inscenizacji?" — Otóż bynajmniej. Kazimierz Braun uczynił wiele, by wywołać ów rezonans dla ideologii poety. Nawet kosztem jej lekkiej modyfikacji. Przypominając, że w „Aktorze", „Pierścieniu wielkiej damy" i „Za kulisami" *wzajemny stosunek społeczeństwa i artysty widział Norwid jako konflikt*, dodaje K. Braun (p. programowy komentarz): *w „Klepatrze i Cezarze" rozszerzył jeszcze Norwid tę samą problematykę i obszar analizy. Miejsce artysty zajął tu najszerzej i najpełniej pojmowany wielki człowiek... Poprzez akcję całej sztuki zdaje się wyrażać Norwid potępienie takiej cywilizacji i struktury państwowej, która pomija jednostkę ludzką w imię rzekomo wyższych celów ogólnych.* Tu następuje efektowny, powtarzany w nieskończoność, cytat z „Kleopatry": *Wielki jest Rzym, lecz wielkość ta nie znosi człeka.* A dalej znów K. Braun: *Jego* (Rzymu) *żelazna, militarna organizacja i zaborczy imperializm są dlań celami wyższymi niż szanowanie i rozwijanie osobowości jednostek. Podobnie Egipt zatraca jednostkę w rytuale bezdusznych obrzędów i biurokracji. Rzym więc zgładził Cezara, który sercem i umysłem wyrósł ponad jego imperialną maszynerię. (Nie można się oprzeć skojarzeniu: J. F. Kennedy!).*

No tak, i nie można się oprzeć jeszcze wielu innym skojarzeniom. Lecz sprecyzujmy pojęcia. Jednostka a społeczeństwo. Jaka jednostka i jakie społeczeństwo? Co to jest „Rzym" i „Egipt" u Norwida? Z tekstu wynika — zresztą i z komentarza K. Brauna — że są to metafory bardzo pojemne, o wartości uniwersalnej. Ale czytelnikowi czy widzowi nieco obeznanemu z historią Rzymu i Egiptu trudno się wyzbyć świadomości, iż ówczesne „społeczeństwo" nie tyle niszczyło wybitne jednostki, ile miażdżyło każdą jednostkę ludzką, która miała pecha urodzić się w stanie niewolniczym, bądź popaść w niego na skutek permanentnej wojny, jaką prowadziły właśnie jednostki wybitne niszczące się nawzajem gwoli wysokosiężnych ambicji.

Takie to nasuwają się wątpliwości człowiekowi obeznanemu z historią, która, ponoć, jest magistra vitae.

Dla dalszego sprecyzowania, o jakie jednostki chodzi Norwidowi, warto zacytować także słowa Kleopatry: *Między Sfinksem a mumią naród wychowany! Biada monarchom...* i skądinąd jej dworzanina Eukasta:

Tak każdy dzisiaj myśli, że czasów zna sekret,

I rad pouczać drugich, a najskorzej wyższych.

Szkoda, że ta sentencja, dwukrotnie wyrzeczona w oryginale, z inscenizacji wypadła.

Sporo tu jednak pozostaje kontrowersji ideologicznych mimo *maksymalnego zredukowania ilości wątków.* I nie sądzę, by antynomia: wybitna jednostka a społeczeństwo, której relikty pożegnaliśmy już z przeminięciem ibsenizmu, — nie sądzę by to przeciwstawienie było funkcjonalne w czasach, kiedy społeczeństwo otacza talenty niebywałą dotąd opieką.

Chciałoby się też polemizować z oderwanym od historii pojęciem *konfliktu dwóch cywilizacji* — rzymskiej i egipskiej — które to pojęcie stale eksponują na pierwszym planie komentatorzy „Kleopatry". Przecie w gruncie rzeczy takiego konfliktu w „Kleopatrze" nie ma. I któż wreszcie, jak nie Cezar, zmuszony był ogniem z okrętów zniszczyć sławną Wielką Bibliotekę aleksandryjską, chlubę kultury hellenistycznej — założoną przez Ptolomeusza II (macedończyka)? Na dworze Kleopatry rozbrzmiewała grecka mowa.

Dajmy więc spokój analizie ideowej. Czy nie lepiej pozostać przy pięknej poetyckiej baśni o spotkaniu dwojga wielkich serc spragnionych miłości, dwóch wielkich umysłów snujących abstrakcyjne rozważania o sprawach świata.

Oczywiście „skomprymowanie całości" nie odbyło się bez pewnych szkód dla poezji (straty powoduje też niedowład dykcyjny niektórych postaci drugoplanowych), ale jest jej w przedstawieniu jeszcze tyle, że choćby za jej sprawą staje się ono atrakcyjne dla wrażliwego widza.

Teatr Osterwy zdobył się na duży wysiłek artystyczny i materialny. Zamówiono oprawę sceniczną u Ottona Axera, wydano obszerny program w starannym opracowaniu sekretarza literackiego teatru, Zofii Reklewskiej-Braunowej, nawet zdjęcia ze spektaklu wykonano na filmie kolorowym. Nadto skorzystano z arkuszy broszury Teatru Narodowego, zawierającej artykuły znawców Norwida. A, co najważniejsze, obsadzono w dwóch głównych rolach bardzo dobrych aktorów.

Adela Zgrzybłowska gra z wirtuozerią taką Kleopatrę, jaką chciał widzieć Norwid: mądrą, szlachetną, uroczą, zalotną, prawdziwie kochającą aż do śmierci. Wolno było poecie, choć Klio rozsiewała o „królowej świata" różne ploteczki (tak samo Schiller wyidealizował rozpustną intrygantkę i skrytobójczynię Marię Stuart na niekorzyść oświeconej, lecz brzydszej Elżbiety!). Krystyn Wójcik godnie reprezentował Cezara, którego szlachetna postać u Norwida jest adekwatna wizerunkowi wielkiego męża znanemu nam z lektury Plutarcha. Scena spotkania monarchów była koncertem gry aktorskiej, jako też scena pożegnania. Natomiast można by zarzucić Kleopatrze w pewnym momencie zbyt pospolite afiszowanie się z czułością na oczach dworaków i żołnierzy.

Z innych kreacji pozostaje w pamięci — Antoniusz (Roman Bartosiewicz) w scenie samobójczej śmierci, Her (Andrzej Gazdeczka) — we wszystkich swych „wejściach" — cyniczny i jurny; Mun-Faleg w swym tragizmie i pokorze (Maciej Polaski), Achilles, dyplomata egipski (Witold Lisowski), Rycerz, którego poetyckie medytacje w II akcie pięknie odtworzył Zbycho Szczapiński.

Scenografia wybitnego scenografa warszawskiego wydaje się zrobiona jakby na zasadzie „chałturki". Jest w tym pałacu egipskim odrobina banału cukierniano-perfumeryjnego. Ale skrótowa dekoracja „obozu" Antoniusza po porażce (te patetyczne sztandary) nosi piętno sztuki przez wielkie S.

Kazimierz Braun ma, zdaje się, na ogół skłonność do kameralizacji, skameralizował tragedię „historyczną" Norwida do kwadratu. Przede wszystkim przez usunięcie chórów z aktu II. Co zaś się tyczy „dobudówki" — tej finalnej, to widok dwóch niewiast sukcesywnie przykładających do łona kostek z historyczną żmiją nieco mi zakłócił tragiczny nastrój i wydaje się, że wbrew tej czy innej logice może lepiej było poprzestać na śmierci Antoniusza, jako fatalnym skutku wielkich namiętności.

Tak czy inaczej, należy się lubelskiemu inscenizatorowi „Kleopatry" duże uznanie — za odważną inicjatywę, za wytrwałe i kompetentne trudy nad inscenizacją wielkiego dzieła Norwida.

Kamena str. 8

POWTÓRKA Z POLSKIEGO

Okres przełomu

Urszula Kowalska

NAZWANO je, słusznie, epoką największych przemian, jakie dokonały się w dziedzinie życia politycznego, społecznego i kulturalnego Europy. Zamyka się ono w klamrach dwu stuleci (1400—1600), w przeciągu których zmieniał się obraz świata i krystalizowała nowa, humanistyczna kultura. Dokonała się wówczas zupełna odnowa człowieka, jego dążeń i ideałów, jego stosunku do świata i własnego narodu.

Na ten doniosły przewrót złożyło się wiele przyczyn; do najważniejszych należą: odkrycia geograficzne XV wieku, które zmieniły układy sił gospodarczych ówczesnej Europy, wiążący się z odkryciami wzrost znaczenia bogatego mieszczaństwa południowej i zachodniej Europy, które stało się nową siłą polityczną i gospodarczą i podważyło system feudalny, oraz zdobycie Konstantynopola przez Turków i związana z tym masowa imigracja uczonych greckich, którzy, chroniąc się do Europy, przywieźli z sobą dzieła sztuki klasycznej oraz zapomniane utwory klasyków starożytnych.

Nowe układy społeczno-polityczne wymagały nowego typu kultury oraz odpowiadającego człowiekowi Renesansu poglądu na świat. Ludzie Odrodzenia sięgnęli więc do koncepcji antycznych, mówiących o człowieku mądrym i pięknym, o wszechstronnych zainteresowaniach, i zaadoptowali ten ideał dla potrzeb swojej epoki. Postawienie człowieka w centrum zainteresowań spowodowało laicyzację świata i ostre przeciwstawienie się ideałom średniowiecznym, głoszącym nicość człowieka wobec Boga i konieczność zasługiwania na zbawienie wieczne.

Renesans entuzjazmował się filozofią, literaturą i sztuką starożytności, naśladował jej architekturę, pełną szlachetnego piękna i prostoty, przejął także i przystosował dla swoich celów zasady estetyczne literatury, sformułowane przez Arystotelesa i Horacego. Poetyki te nakazywały mimetyczność sztuki, tzn. naśladowanie rzeczywistości, jasność i klarowność wypowiedzi literackiej, dbałość o piękną formę języka oraz równowagę między formą i zawartą w utworze treścią. Poeta bowiem miał być człowiekiem wykształconym i utalentowanym, wrażliwym na wszystkie przejawy życia i otaczającego go świata. W ogóle ideałem Renesansu był człowiek genialny, wszechstronnie uzdolniony, jak np. Leonardo da Vinci lub Michał Anioł, którzy zajmowali się nie tylko malarstwem czy rzeźbą, ale byli również architektami, konstruktorami, pisywali utwory literackie i traktaty filozoficzne. Nie wszyscy twórcy tamtych czasów byli tak uzdolnieni, wszystkich cechowały jednak wielostronne zainteresowania.

Wczesne Odrodzenie, nawiązujące bezpośrednio do antyku, używało najczęściej jako języka literackiego eleganckiej łaciny „złotego okresu", która różniła się znacznie od zanieczyszczonego różnymi naleciałościami języka wieków średnich i była bezpośrednim nawiązaniem do Owidiusza, Horacego, Katulla czy Propercjusza.

Obok łaciny występują, jako literackie, języki narodowe, uznawane dotąd za „gminne", wyłącznie ludowe. Wiąże się to ze zmianą światopoglądu w Renesansie, z rodzącym się poczuciem godności narodowej, nakazującej pisarzom pracę nad własnym językiem i wypowiadanie się w nim, co zapewniało również docieranie literatury do szerokich rzesz odbiorców swego kraju.

Odrodzenie polskie ma kilka zasadniczych faz i nie od razu prezentuje poziom „złotego wieku", przypadający na połowę XV w. Zaczyna się ono w drugiej połowie XV wieku i dzieli na dwa nurty — dworski i plebejsko-mieszczański. Nurt dworski reprezentują początkowo poeci pochodzenia obcego, tacy jak Kallimach czy Celtes, piszący po łacinie. Znajdowali oni gościnę na dworach królewskim i magnackich i byli uzależnieni od protektora. Instytucja mecenatu była w Renesansie szeroko rozpowszechniona, nie znano bowiem wówczas prawa autorskiego ani honorariów; środki do utrzymania zapewniał pisarzom i poetom właśnie mecenas. Słynnym opiekunem poetów i artystów był w tamtych czasach Grzegorz z Sanoka, wszechstronnie wykształcony dostojnik Kościoła, sam pisarz i filozof.

Nurt dworski literatury wczesnorenesansowej w Polsce wydał wielu poetów posługujących się wyłącznie językiem łacińskim. Byli to wspomniani już Kallimach i Celtes (oba nazwiska są pseudonimami), Krzycki, Dantyszek, Hussowski, najwybitniejszy z tego kręgu — Janicki i wielu innych.

Zależności artysty od mecenasa sprawiały, że uprawiał on literaturę (czy inną dziedzinę sztuki) licząc się z gustami chlebodawcy. Tym należy tłumaczyć rozwój form literackich takich jak panegiryk na cześć mecenasa czy osoby mu bliskiej, epitalamium (utwór na wesele, najczęściej pochwalający osoby wstępujące w związki małżeńskie), epitafium (nagrobek literacki) i inne gatunki literackie, specjalnie predestynowane do wyrażania panegiryzmu. Ponadto uprawiano elegię, odę, list poetycki, epikę wierszowaną i renesansowy żywot, opiewający wybitną postać współczesną (np. Żywot Grzegorza z Sanoka napisany przez Kallimacha). Wiele znanych wówczas gatunków literackich przejęto z praktyki starożytności i wiernie ją naśladowano.

Mecenat stwarzał pewne niedogodności nie tylko ze względu na zależność finansową od opiekuna, ale również ze względu na samego literata, który, uprawiając poezję o charakterze panegirycznym, zatracał często poczucie godności osobistej. Najlepszym tego przykładem może być twórczość A. Krzyckiego, korzystającego z mecenatu Zygmunta Starego, który w jednym z utworów pisał, że zając, zachwycony niebiańską urodą królowej Bony, pozwolił się zabić, w innym zaś — przy jakichś niesnaskach z królową — że kraj cały niszczeje, odkąd smok (czytaj — Bona) zasiadł na tronie. To przejście od twórczości pochwalnej do paszkwilowej nie było przypadkiem jednostkowym ani sporadycznym; poezja pozostająca w dużej zależności od mecenatu nie musiała być ani szczera, ani spontaniczna. Niewielu było pisarzy o tak wielkiej godności osobistej jak K. Janicki, który nie splamił się nigdy płaskimi pochlebstwami czy ostrymi atakami na osobę mecenasa.

Nurt plebejski literatury drugiej połowy XV wieku reprezentowali bakałarze krakowscy, wędrowni żacy i ludzie pochodzenia mieszczańskiego jak np. Jan z Koszyczek czy Biernat z Lublina. Pisarze ci wyrażali się w języku narodowym, niezbyt jeszcze literacko ukształtowanym, używali mowy potocznej, służącej codziennemu porozumieniu. Na nich więc spadł trud pracy nad polszczyzną, próba jasnego tłumaczenia się w języku dotąd surowym. Ten nurt literacki nie stwarzał wyraźnych podziałów między okresem poprzedzającym i początkami Renesansu; Jan z Koszyczek pisał „Żywot Pana Jezu Krysta", ale przyswoił naszej literaturze również „Rozmowy, które miał król Salomon Mądry z Marcholtem grubym a sprośnym". Biernat z Lublina wydał „Raj duszny" — książeczkę do nabożeństwa, ale ponadto pisał „Żywot Ezopa Fryga" czy „Rozmowę Palinura z Karonem".

Aż do Reja zaznacza się czerpanie z obiegowych romansów średniowiecznych, które były dobrze znane ogółowi mieszczańskich i ludowych czytelników bądź to z lektury, bądź przez opowiadanie. Znane wątki literackie wypełniano jednak nowymi treściami: nurt plebejski wprowadził do literatury bohatera ludowego, prostego człowieka, który doskonale radził sobie we wszystkich życiowych sytuacjach, kpił z możnych i zaskakiwał mądrością ludzi wykształconych i stojących na społecznym świeczniku. Ideał mędrca prostaczka, biorącego odwet na krzywdy klasowe prezentuje tzw. „trójka hultajska" — jak ją nazwał J. Krzyżanowski — mianowicie wspomniany już Marcholt, Ezop oraz Dyl Sowizdrzał. Są to postaci znane całej Europie i wielokrotnie wracające na warsztaty literackie.

„Złoty wiek" polskiej literatury renesansowej rozpoczyna umowna data — rok 1543. Przypada nań śmierć K. Janickiego, debiut literacki Reja („Krótka rozprawa...") oraz rozprawa Modrzewskiego „O karze za mężobójstwo". To nagromadzenie ważnych wydarzeń kulturalnych pozwoliło badaczom oznaczyć rok 1543 jako początek właściwego Odrodzenia w Polsce, które położyło podwaliny pod kształtowanie się kultury, literatury, myśli społecznej i politycznej.

Tajemnica kawiarni „U aktorów" (3)

WYROK

Konrad Bielski

W ROKU 1948 Sąd Specjalny już nie istniał. Został zniesiony w całej Polsce i jego kompetencje z pewnymi zmianami przekazano sądom okręgowym w toku zwykłego biegu instancji. Miało to być widomą oznaką, że czasy nadzwyczajne się skończyły i wkraczamy na drogi normalne. Toteż akt oskarżenia przeciw Orszy został tam skierowany. Trzeba go było rozpatrzyć z kilku punktów widzenia.

Dla oskarżonego korzystny był ten fakt, że mógł swobodniej działać w swej obronie. Przygotowywać wnioski, powołać świadków itp. nawet po upływie terminów proceduralnych. W Sądzie Specjalnym było to utrudnione, gdyż miał on charakter doraźny; chodziło o szybkie zakończenie sprawy i wydanie prawomocnego wyroku, a wiadomo, że nic tak nie szkodzi prawidłowemu wymiarowi sprawiedliwości, jak nieuzasadniony pośpiech. Prokuratura, która już wówczas okrzepła, i liczyła w swym gronie sporo dobrych fachowców, zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę i akty oskarżenia były wniesione z dużym rozmysłem i dobrze przygotowane. Istniała wtedy jeszcze instytucja sędziów śledczych, toteż akta sprawy Orszy, skoro się znalazły w zakresie działania sądu, stanowiły materiał obfity, w miarę możności sprawdzony i ostrożnie wyselekcjonowany. Nie stawiano mu zarzutów wątpliwych i mglistych. Te odrzucono *a limine*. Pozostawiono tylko takie, które były podparte konkretnym dowodem.

Sprawa była niedobra. Pogorszona jeszcze przez tę okoliczność, że śledztwo cały czas toczyło się zaocznie i oskarżony we właściwym czasie nie złożył w ogóle swoich wyjaśnień i nie zaproponował dowodów, a wiadomo, że nieobecny nigdy nie ma racji, toteż niektórzy ludzie używali sobie na nim w sposób nieodpowiedzialny. Wystarczy przytoczyć, że w aktach sprawy znajduje się stwierdzona przez jednego ze świadków, człowieka bardzo poważnego i solidnego, taka okoliczność, że kawiarnia „U aktorów" powstała w lokalu poprzednio żydowskim i że z zagrabionych od nich pieniędzy stworzył się, kapitał zakładowy. Ta oczywista brednia, którą każdy mieszkaniec Lublina przyjąłby ze śmiechem lub wzruszeniem ramion, została podana na poważnie i całkiem serio.

Akt oskarżenia z powodów, które wyżej przytoczyłem, był zwarty i konkretny. Stawiał oskarżonemu trzy zarzuty. Po pierwsze — że w czasie okupacji brał on udział jako konfident w przestępczej organizacji gestapo. Był to punkt najważniejszy, ale oczywiście trzeba było wykazać, choćby przykładowo, na czym ta działalność polegała, więc uzupełniono go dwoma następnymi zarzutami. A mianowicie: że w lutym 1941 roku w Lublinie wskazał gestapowcowi Fischoterowi czynnego działacza politycznego, aktora Józefa W., który został aresztowany i zamordowany na Majdanku, oraz że latem 1941 r. wskazał gestapo kurierkę rozwożącą tajną prasę polskiej organizacji podziemnej Marię S. powodując jej aresztowanie w Piotrkowie i wywiezienie do obozu w Rawensbrück. Wszelkie inne okoliczności, zebrane dość obficie w śledztwie i sugerujące dodatkowe zarzuty, jako niedostatecznie pewne, pominięto. Trzeba więc się było uzbroić i walczyć z tak skonstruowanym aktem oskarżenia.

Tu od razu muszę zaznaczyć, że siły były wyjątkowo nierówne. Z jednej strony grube akta, z których każda karta przemawiała przeciwko oskarżonemu, wszyscy świadkowie nieżyczliwi i nastawieni wrogo, a między nimi ludzie o takim poważaniu w społeczeństwie jak Leon Schiller, Marian Meller i inni oraz kilku czynnych działaczy AK zajmujących czołowe stanowiska w naszym mieście. No i wiele dodatkowych, ale niezbyt miłych plotek, pogaduszek tworzących odpowiedni nastrój.

I cóż obrona mogła temu przeciwstawić? Na razie nic, bo właściwie tylko fascynującą opowieść oskarżonego o swych przewagach i osiągnięciach. Ale przecież Orsza był miernym aktorem i będzie miał niesłychaną tremę. Trudno spodziewać się, aby sąd przekonał, a przynajmniej zasugerował. Sąd składał się z sędziego zawodowego i dwóch ławników. Do nich trzeba umieć przemówić. A tu jeszcze należy to uzasadnić, na co niezbędni są solidni świadkowie i mocne dowody. Ale gdzie ich szukać, skąd wziąć? Oskarżony dał mnie właściwie początki dowodów. Wątłe nitki, które nie miały mocy kłębka Ariadny i nie rokowały wyjścia cało z tego labiryntu.

Wypada jeszcze podkreślić rzecz niesłychanie ważną. Cała działalność oskarżonego odbywała się w ramach organizacyjnych Armii Krajowej, która wówczas była w wyjątkowo trudnym położeniu. Przez władze źle widziana, przeważnie w rozsypce, nie wszyscy działacze AK skorzystali z amnestii, i ujawnili się, niektórzy włączyli się w ramy akcji nielegalnej, jak WIN itp., wielu miało za sobą wyroki i byli tacy, co się ukrywali. Jak w tych warunkach powoływać świadków, którzy w dodatku mają przed sądem rozkonspirowywać swych towarzyszy i ujawniać tajniki organizacji i jej strukturę? Bo choć sprawa dotyczyła czasów wyłącznie okupacyjnych trudno było ominąć teraźniejszość, która dla niejednego mogła być niebezpieczna.

No, ale pomimo tych wszystkich trudności należało działać i to szybko, bo termin rozprawy nieubłagalnie się zbliżał. Postanowiłem mimo wszelkich zastrzeżeń i oporów wezwać Strachockiego. Na niego mogłem liczyć najwięcej. Ponadto jeszcze kilku świadków, między innymi tego kolegę, który pierwszy powtórzył mi rozmowę na temat Orszy z „Marcinem", kilka życzliwych dla niego koleżanek i czekać na okazję — może coś się jeszcze pomyślnego nadarzy. W tym czasie zgłosiła się do mnie żona Orszy, Janina, która mi okazała wielką pomoc szukając po całej Polsce utraconych z dawna kontaktów. Ona też obiecała ustalić miejsce zamieszkania Pelagii W.

W oczekiwaniu sprawy niejeden wieczór zastanawiałem się, co tu jeszcze można zrobić i spokoju mi nie dawały te pseudonimy szefów okupacyjnych Orszy: „Oskar", „Czarny", kim byli ci ludzie? Odgadnąć bardzo trudno. Łatwiej trafić na wygrany los w loterii. Bo na pewno wśród wielkiej armii konspiracyjnej setki ludzi nosiło identyczne pseudonimy. „Czarny" — sam znałem ich kilkunastu, ale żaden nie był tym dla mnie potrzebnym. Aż tu pewnego dnia przeglądając zbierane przeze mnie specjalnie wycinki z gazet dotyczące głośnych procesów politycznych natknąłem się na jednego z „Czarnych", który z uwagi na zakres jego działalności w okupacyjnym podziemiu pasował dla mnie jak ulał. W procesie Rzepeckiego otrzymał wyrok siedem lat za przynależność do WIN-u. Był to inżynier Kazimierz L. Jak później ustaliłem, odbywał karę więzienia we Wronkach.

Od razu postanowiłem zaryzykować i strzelić na ślepo. Złożyłem do sądu podanie z prośbą o przesłuchanie w drodze pomocy prawnej w więzieniu tego człowieka i zadanie mu pytań, czy był bezpośrednim przełożonym Orszy w czasie okupacji i co wie o jego działalności.

Strzał był — jak zaznaczyłem — oddany na ślepo, ale trafiłem w dziesiątkę. Ten „Czarny" okazał się bardzo jasną plamą na ciemnym tle procesu.

* * *

5 stycznia 1949 roku duża sala posiedzeń Sądu Okręgowego w Lublinie już od wczesnych godzin rannych zaczęła się zapełniać doborową publicznością, jak na premierze sensacyjnej sztuki. Nic dziwnego, na wokandzie figurowała sprawa Orszy-Łukasiewicza. Jedni przyszli, by sobie przypomnieć niedawne czasy, gdyż znali lokal, jego kierownika oraz wiele o nim słyszeli na mieście, inni przez zwykłą ciekawość, dużo było kobiet. Do wzmożonej frekwencji przyczyniły się też niemało sensacyjne tytuły w porannej prasie, której przedstawiciele zasiedli gęsto przy przeznaczonym dla nich stole.

Pokój dla świadków też wyglądał niecodziennie i — że tak powiem — odświętnie. Powszechną uwagę zwracała okazała postać znakomitego reżysera i inscenizatora Leona Schillera. Obok niego kręcili się dwaj znani dyrektorzy teatrów stołecznych, Janusz Strachocki i Marian Meller. Oprócz nich ensemble aktorski tam zgromadzony nie stanowił wprawdzie samych asów, ale reprezentował wysoki poziom i wyrównany. Toteż jeden z bywalców teatralnych, skoro rzucił okiem na skupionych tam ludzi, gwizdnął i powiedział: — z tym zespołem można by wystawić i obsadzić kilka świetnych spektakli.

Mam tę szczęśliwą właściwość, że nie odczuwam tremy. Byłem tylko lekko podniecony. Natomiast mój klient pod wrażeniem silnych emocji stremowany był niebywale. Dziwić mu się nie mogłem, ani go uspokajać, boć przecie stawką w tej wielkiej grze było jego życie, ale nie powiem, żeby mi to było na rękę. Na skutek nie trzeba było długo czekać, bo skoro proces się rozpoczął i sąd przystąpił do przesłuchania oskarżonego, wyjaśnienia, które zaczął składać, były chaotyczne, niepewne, źle podane, a przeto nieprzekonywające. W zasadzie mówił to wszystko, co i u mnie przed sprawą, ale jak to było źle zredagowane! Powtarzał się, zapominał o momentach najważniejszych, plątał się w odpowiedziach na pytanie — słowem było niedobrze.

Z kolei sąd przystąpił do badania świadków. Pierwszy zeznawał aktor, pracownik kawiarni, Zbigniew B. Zeznał dla oskarżonego bardzo niekorzystnie. Zasadniczo powtórzył rzeczy ogólnie znane, lecz stwierdził ponadto, że Orsza, poza tym, że kolegów wyzyskiwał i szantażował, spowodował czasowe zatrzymanie przez Niemców jego osobiście (trwało to miesiąc), o czym mu powiedział bezpośrednio Fischoter, oraz wydał aktora Józefa W., gdyż pytał go o jego adres, a skoro mu udzielił tej informacji, siadł przy stoliku z gestapowcami i nazajutrz Józef W. był aresztowany.

Drugi z kolei świadek, też aktor, Józef K., był bardzo ostrożny i powściągliwy w swych wypowiedziach. Wprawdzie opisał dokładnie wszystko złe, co się jego zdaniem działo w kawiarni, lecz wreszcie dodał, że pod koniec okupacji zaczął stopniowo zmieniać swój sąd nieprzychylny o Orszy, gdyż na podstawie zaobserwowanych różnych, na pozór drobnych, faktów doszedł do przekonania, że może się mylił i człowieka niesłusznie krzywdzi.

Wszyscy z zaciekawieniem czekali na zeznania Leona Schillera. Znakomity artysta nie wniósł do sprawy nic istotnego. Barwnie opisał podejrzaną atmosferę lokalu, nakreślił sylwetki stałych bywalców, sugestywnie opowiedział o koszmarnej awanturze i bójce, która po pijanemu powstała pomiędzy Orszą i jedną z jego przyjaciółek (krew bryzgała na sprzęty i ściany, a on wraz ze Strachockim i Mellerem na próżno usiłowali ich rozdzielić), o telefonach do gestapo itp. Słowem była to efektowna solówka i nic więcej. Dla rozwiązania problemu — bez znaczenia.

Jeszcze się przewinęło szereg świadków, mężczyzn i kobiet, ale prawie wszyscy mówili to samo. Żadnych rewelacji.

Gwoździem do trumny dla Orszy miało być zeznanie świadka Roberta B. Był to człowiek powszechnie szanowany o nieposzlakowanej opinii i niewątpliwie zajmował poważne stanowisko w lubelskiej komórce AK. I rzeczywiście, świadek ten zeznawał pewnie i stanowczo. Twierdził kategorycznie, że Orsza nie pracował wcale w jego organizacji ani też dla organizacji. Pewność swą opiera na tym, że on z uwagi na swoje stanowisko i ogólną strukturę, musiałby o tym wiedzieć. A skoro nie wiedział, to wszystko, co mówi oskarżony, jest kłamstwem i wykrętem. Przy tym ton jego mowy brzmiał tak, jak oficera do żołnierzy, o jakimkolwiek sprzeciwie nie mogło być mowy. Roma locuta - causa finita.

Na tym to fatalnym akcencie zakończyło się w tym dniu badanie świadków oskarżenia. Teraz przyszła kolej na odwodowych. Było ich sporo, ale na niewielu tylko mogłem liczyć. Najbardziej mnie interesowało, jakie zajmie stanowisko Starachocki, z którym przed sprawą nie zamieniłem ani słowa.

Tymczasem sąd zarządził przerwę — jak to się mówi — na papierosa. Kuluary się zapełniły, publiczność pomieszała się ze świadkami, zewsząd słychać było gwar ożywionych głosów, urywki rozmów, a nawet spory. Zainteresowanie było powszechne. Opinie na ogół przeważnie jednolite i horoskopy dla oskarżonego stawiano fatalne. Zewsząd mnie zaczepiano i interpelowano, trudno się było opędzić od ciekawych i ciekawskich. Toteż jak najśpieszniej po wypaleniu dużej liczby papierosów wróciłem na salę.

Rozpoczęło się dalsze badanie świadków zawnioskowane przez obronę. Nie będę tu streszczał zeznań nijakich i dla sprawy obojętnych. Zatrzymam się tylko przy tych, których ciężar gatunkowy był znaczny. Najpierw przesłuchano mego kolegę, o którym już wspomniałem i który powtórzył swoją rozmowę z gen. „Marcinem" o Orszy. Zeznanie to uczyniło spore wrażenie, ale swoistą rewelacją było to, co oświadczyła sądowi żona aktora Józefa W. Powiedziała mianowicie, że wie dobrze, kto zadenuncjował i wydał w ręce gestapo jej zamordowanego męża. Wie, o co go oskarżano i w jakim kierunku szło badanie — lecz absolutnie wyklucza jakikolwiek udział Orszy w tej bolesnej sprawie. Odpadł więc od razu poważny zarzut aktu oskarżenia i w bardzo dwuznacznym świetle ukazywały się zeznania Zbigniewa B.

Wacław J. potwierdził, że na polecenie organizacji zwerbował Orszę do współpracy i przyjął od niego przysięgę, lecz potem wyjechał z Lublina. Co było dalej, nie wie, nie wie, czy i jak się on wywiązał ze swych zadań.

Szala wagi Temidy zaczęła wyraźnie przechylać się na korzyść oskarżonego, a punktem kulminacyjnym dnia było jednak zeznanie Strachockiego, które, chociaż złożone w kolejności nieco wcześniej przed innymi, omówię na tym miejscu.

Strachocki — jak to było do przewidzenia — zeznawał nadzwyczaj ostrożnie. Niechętnie wdawał się w szczegóły i wyraźnie unikał podawania nazwisk. Jednak stwierdził z całą rzetelnością, że Orsza pracował dla polskiego podziemia, że za jego pieniądze otworzył kawiarnię w Warszawie i że oddał mu duże usługi. Odnosiło się wrażenie, że wie dużo więcej, lecz nie chce mówić.

Wtedy zawnioskowałem konfrontację jego ze świadkiem Robertem B. Był to moment nadzwyczaj interesujący. Dwóch ludzi, co do których prawdomówności nie można było mieć żadnych zarzutów i podawać w wątpliwość, wobec sądu stwierdzali okoliczności, z których jedne wykluczały drugie. A przecież prawda może być tylko jedna. Była w tym zasadnicza różnica. Strachocki podawał konkretne fakty — świadek B. twierdził, że one nie mogły się zdarzyć, ponieważ on powinien o nich wiedzieć, a nie wiedział. W końcu arbitralność i pewność siebie tego świadka wyprowadziła z równowagi Strachockiego, który wybitnie zdenerwowany w pewnym momencie prawie krzyknął: Pan mi zarzuca kłamstwo, ja podam nazwiska takich ludzi, którzy zajmowali czołowe stanowiska w naszym kontrwywiadzie i oni moje słowa potwierdzą.

Odetchnąłem głęboko. Oto przecież obronie przede wszystkim chodziło!

Wobec niestawiennictwa niektórych świadków sąd przerwał rozprawę do 4 lutego. Za kilka dni otrzymałem od Strachockiego list, który do dziś dnia znajduje się w moich papierach, podający nazwiska i adresy potrzebnych nam ludzi. Oczywiście odpowiedni wniosek natychmiast złożyłem w sądzie.

* * *

4 lutego szedłem na rozprawę w dużo lepszym nastroju niż pierwszym razem. Wprawdzie nie wpłynęły jeszcze do sądu zeznania najważniejszych dla nas świadków, ale spodziewałem się ich nadejścia lada dzień i byłem dobrej myśli. Jedynym wydarzeniem na dzisiejszej sesji miało być przesłuchanie Marii S. i żadnych rewelacji się nie spodziewałem.

Maria S., kobieta już podówczas po balzakowskim wieku, niegdyś odznaczała się efektowną urodą, bujnym temperamentem i niemałą dozą talentu. Orszę znała jeszcze sprzed wojny i łączyły ich jakieś więzy specjalnej przyjaźni. Zdaje się, że te uczucia z czasem znacznie osłabły, szczególnie po stronie Orszy. Trzeba przyznać, że różnica wieku między nimi była znaczna.

W czasie okupacji Maria S. przebywała w kraju i była kurierką, rozwożąc prasę nielegalną. Dla jakiej organizacji pracowała, o tym nic nie mówiły materiały śledztwa, a i sama osoba zainteresowana dyskretnie te kwestie przemilczała. Jak się później okazało w grę wchodziła żydowska lewicowa partia „Bund". Maria S. nie była Żydówką, wprawdzie jej trzeci mąż nazywał się Weisberg, ale z nim nie żyła i była dawno rozwiedziona, co ją łączyło z tą organizacją nie dało się do końca wyjaśnić. Mówiono nawet, że w ten sposób zarabia na życie w ciężkich wojennych czasach.

Zajmując się kolportażem, oczywiście musiała jeździć od miasta do miasta i w trakcie tych podróży spotkała się z Orszą w Warszawie w kawiarni „Jacht — Club" na początku czerwca 1941 r. Od słowa do słowa odnowiła się dawna znajomość. Orsza w Warszawie odwiedzał Marię S., ona z kolei w Lublinie jego. Udzielali sobie wzajemnie noclegów i różnej pomocy.

Już 1 lipca 1941 podczas kolejnej podróży na dworcu w Piotrkowie Maria S. dostała się w sieci łapanki. Niemcy zagarnęli część publiczności, wśród której znalazła się i ona. Walizkę wprawdzie odrzuciła, ale jakaś kobieta wskazała na nią jako na właścicielkę — wtedy przyznała się i została aresztowana.

Twierdzi, że od razu nabrała przekonania, że wydał ją Orsza, gdyż zbyt gorliwie dopytywał się jej o wszystko oraz nalegał by przyjechała do Lublina jeszcze raz, na co ona mu przyrzekła, że będzie 4 lub 5 lipca w Lublinie.

Gdy ją przywieziono do Lublina badanie prowadził, jak mówi, sam Fischoter. Ponieważ posiadał o niej wiadomości, które mogły pochodzić, jej zdaniem, tylko od Orszy, zapytała Fischotera, czy to jemu zawdzięcza uwięzienie, co ten potwierdził odpowiednim skłonem głowy.

Tak w skrócie odtworzyłem zeznania Marii S. w śledztwie. Wszystko to się kupy nie trzymało i powinno się rozlecieć na rozprawie. W jaki sposób Orsza, który upewnił się i oczekiwał na przyjazd S. w Lublinie 4 lub 5 lipca, mógł spowodować jej zatrzymanie 1 lipca w przypadkowej łapance w Piotrkowie, choć nie wiedział, że ona tam będzie? Przecież, gdyby przygodna towarzyszka podróży nie wskazała na S. jako właścicielkę walizki — nic by jej nie można było udowodnić, skąd by też tak wytrawny policjant jak Fischoter zdradzał pierwszej lepszej aresztowanej nazwisko swego konfidenta itd.? Słowem mnóstwo rażących sprzeczności.

Toteż pełen dobrych myśli szedłem do sądu, ale tu mnie czekała wielka niespodzianka. Nie doceniłem przeciwnika, a raczej możliwości utalentowanej aktorki. Maria S. przed sądem zagrała swą wielką rolę. Powiedziała właściwie to samo, co i w śledztwie, ze wszystkimi sprzecznościami, brakiem logicznych powiązań itp. niekonsekwencji — ale powiedziała w taki sposób i z taką swadą, że na całej sali, a i na sądzie, uczyniła wielkie wrażenie. Mówiła spokojnie, ale nadzwyczaj sugestywnie. Odnosiło się wrażenie, że wyraża swe najgłębsze i najszczersze przekonania, a te biły w Orszę jak taranem. W dodatku nie używała żadnych inwektyw ani słów ordynarnych. Słowem uczyniła wszystko, by ułatwić oskarżonemu drogę na szubienicę.

Widziałem i wiedziałem, jakie wrażenie uczyniły te zeznania na wszystkich i miałem trudną chwilę z podjęciem decyzji — zadawać świadkowi pytania czy też nie? Zdecydowałem się ku zdumieniu obecnych na sali kolegów adwokatów, nie pytać wcale. Rozumowałem tak: pytania dadzą tylko okazję do dalszych popisów sztuki aktorskiej, a gdy czar teatralny minie i zacznie się na zimno analizować cały materiał wynik powinien być dla obrony korzystny. Wnioski moje były prawidłowe i decyzje słuszne, co się zresztą w niedługim czasie potwierdziło, ale gdy sąd przerwał rozprawę do 12 lutego i wróciłem do domu, ciągle czułem niepokój i wątpliwości, czy dobrze zrobiłem.

W mieszkaniu czekała na mnie matka Orszy. Starsza pani, Francuzka z pochodzenia, po polsku mówiła dobrze, ale z cudzoziemskim akcentem. Chciałem się jej szybko pozbyć, bo nie miałem nastroju do rozmów, ale coś mnie tknęło i przystałem na dłuższą konferencję. Na razie słuchałem obojętnie jej żalów na Marię S. i całej historii jej znajomości z synem. Lecz skoro zaczęła mówić o jakichś listach, wzbudziło to moje zaciekawienie.

— O jakich listach pani mówi?

— O listach, które jeszcze niedawno pisała S. do mego syna.

— Ma pani te listy?

— Poszukam, może jakiś znajdę.

— Niech pani idzie natychmiast do domu, jak najdokładniej wszystko przeszuka i jak znajdzie, dziś jeszcze, choćby w nocy, listy te przyniesie do mnie. Z kopertami!

Nie czekałem do nocy. Za kilka godzin stroskana matka przyniosła mi dwa listy. Pochłonąłem ich treść i osłupiałem. Oba były pisane niedługo przed sprawą, już po złożeniu przez Marię S. obciążających zeznań w śledztwie. Pisała do człowieka, który rzekomo ją wydał w ręce Niemców per „kochany Mieciu", ubolewała, że jest narażony niesłusznie na takie przykrości, by się nie martwił, bo sprawiedliwość jednak zwycięży. Oferowała mu swą pomoc, by łatwiej mógł wykazać swą niewinność, itd., itd.

Listy te okazane sądowi we właściwym czasie zrobiły nie mniejsze wrażenie niż zeznania Marii S., i były swoistą rewelacją. Jeden z nich, zdaje się, jeszcze znajduje się w aktach sprawy.

Maria S. już od dłuższego czasu nie żyje i do grobu zabrała tajemnicę, co nią powodowało w tym tak niezwykłym postępowaniu. Dlaczego z jednej strony czyniła wszystko, by spowodować wyrok śmierci na tego człowieka, do którego prawie jednocześnie pisała czułe listy i ofiarowywała swą pomoc. Jaka głęboka krzywda i jakie upokorzenie godności osobistej mogło ją skłonić do takich, łagodnie mówiąc, pochopnych oskarżeń i jakie niewygasłe uczucie kazało czułić się i wdzięczyć do człowieka, który miał ją zniszczyć i zgubić i to w haniebny sposób?

Jest takie banalne powiedzonko, że kobieta jest zagadką. Przypadek Marii S. może być do tego wyborną ilustracją.

* * *

Następny termin rozprawy wyznaczony został na dzień 12 lutego. Wszyscy wiedzieliśmy, że to już będzie finał. Do akt wpłynęły zeznania wszystkich świadków zamiejscowych, zawnioskowanych przez obronę. Nie było tajemnicą, że te zeznania dla oskarżonego są znakomite. Sąd po kolei zaczął je odczytywać. Podaję ich treść w ogromnym skrócie. I tak: świadek Henryk S. S. z Krakowa, poprzednio członek kontrwywiadu ZWZ i AK a później kierownik walki cywilnej na powiat Siedlce, zeznał, że kontakt z Orszą uzyskał przez dwójkę AK i oddał on mu wiele cennych usług.

Kazimierz L. — ów właśnie „Czarny" stwierdził, że Orsza został mu przekazany przez szefa kontrwywiadu Komendy Głównej AK pseudo „Oskar". Działał niezawodnie — udzielał bardzo cennych informacji i uczestniczył przy rozpracowywaniu konfidentów, prowokatorów itd.

Bruno Michał Z., adwokat, mówił, że kontakty z gestapo, a w szczególności z Fischoterem, utrzymywał Orsza za wiedzą i zgodą szefa II Oddziału Komendy Głównej AK; za pośrednictwem aktora Strachockiego otrzymywał zlecenia i rozkazy. Oddał duże usługi, szczególnie w Warszawie w sprawie zdobycia dokumentów od Stöffla. O roli, jaką pełnił Orsza, nie powiadomiono Komendy Okręgu w Lublinie, mógł o tym wiedzieć tylko komendant.

Skoro sąd czytał zeznania Pelagii W. miało się wrażenie, że słuchamy rozdziału fascynującej książki kryminalnej. Potwierdziła całkowicie wyjaśnienia Orszy.

Jeszcze pokazałem listy Marii S., jeszcze kilka drobnych czynności i sąd zamknął tak pracowicie wypełniony przewód sądowy, po czym udzielił głosu stronom.

Prokurator uniósł się na fotelu i coś tam mruknął pod nosem. Przyszła kolei na mnie. Byłem naładowany jak beczka dynamitu, ale w miarę rozwoju procesu wszystko odeszło. Nie było już z kim i o co walczyć. Wszystko się wyjaśniło i wyrównało. Ale ponieważ rozwikłanie tak dziwnie splecionego węzła wymagało jakiegoś końcowego akcentu wygłosiłem przemówienie, ale bez ognia i namiętności, bardziej literackie niż prawnicze.

Po bardzo krótkiej przerwie sąd ogłosił wyrok uniewinniający. Wtedy odetchnąłem już ostatecznie i udałem się wprost do knajpy. Ukoronowałem sprawę wielkim pijaństwem, ale to było konieczne — dla higieny psychicznej.

Kamena str. 9

okolice sztuki

„Brama" do malarstwa

MALARZ współczesny to podobno facet z samochodem, osobnik zamożny i chciwy na dobra tego świata, a na domiar wszystkiego pchający się przed ludzkie oczy ze swoją twórczością. Produkując obrazy domaga się warunków do publicznego ich pokazania, złorzeczy na wszystkie oficjalne świętości, jeśli wytworów swej pracy sprzedać nie może. Chce żyć dla sztuki i ze sztuki, a nie przedwcześnie przez nią umierać.

Poza tym generalnym posądzeniem o zamożność, pozostałe rysy powierzchownego wizerunku współczesnego plastyka na ogół znajdują potwierdzenie w rzeczywistości i chyba — pomijając przypadki skrajne — nie można ich oceniać ujemnie.

Spotyka się przecież w tym kraju plastyków, którzy nie dość, że nie żądają od nikogo szeleszczącej pomocy, to jeszcze sami, bezinteresownie, taszczą w stronę społeczeństwa pokaźne wory niebanalnych podarunków. Tak, proszę Państwa, to nie baśnie z tysiąca i jednej artystycznej nocy, ale realne fakty. Ich sprawcy: białostoccy malarze — Jerzy Lengiewicz, Stefan Rybi i Mikołaj Wołkowycki, ambitni twórcy, o których niejednokrotnie pisałem na tych łamach.

Białystok posiada: 150 tys. mieszkańców, trzy wyższe uczelnie, teatr dramatyczny, dwa muzea i doroczne Ogólnopolskie Plenery Białowieskie, obrosłe już niejaką tradycją. Nie posiada natomiast odpowiedniej sali wystawowej, a więc możliwości regularnego zaznajamiania publiczności ze sztuką współczesną. I tę właśnie lukę wypełnili wspomniani trzej malarze. Sposób, w jaki to zrobili, nie ma chyba krajowego precedensu.

Nie czekając na jakiekolwiek gesty oficjalnego błogosławieństwa, uruchomili... prywatną inicjatywę! W prywatnej pracowni Stefana Rybiego, mieszczącej się w bramie wjazdowej na dziedziniec dawnego pałacu Branickich, zajmowanego dziś przez Akademię Medyczną, urządzili galerię sztuki o nazwie „Brama". Wszystko własnym kosztem i pracą: malowanie ścian, założenie instalacji elektrycznej, ekspozycje, transport, dyżurny w godzinach otwarcia galerii. O ile wiem, żaden z nich nie posiada samochodu, gospodarstwa rolnego, wytwórni zabawek plastikowych, czy też garbarni. Wszyscy pracują na państwowych posadach, wcale nie lukratywnych. A więc może fanatycy? Nic podobnego, są to ludzie rzeczowi (tyle że myślący szerszymi, niż to się zazwyczaj spotyka, kategoriami) i ta właśnie cecha stała się podstawą uruchomienia galerii. Bez odbiorcy — mówią — sztuka karłowacieje, bez ciągłych kontaktów ze sztuką ludzie nigdy jej nie zrozumieją. W interesie artystów leży więc upowszechnianie wartościowych zjawisk plastyki współczesnej. Warto też przekonać otoczenie, że życie lokalnego środowiska artystycznego nie musi się zamykać w konwencjonalnych i często nudnych formach organizacyjnych.

I przekonali. Szóstego kwietnia 1968 r. otwarli galerię wystawą swoich prac, które następnie, co kilka czy kilkanaście dni, wymieniali na nowe. Zasada rotacji obrazów obowiązuje do dziś, co nadaje „Bramie" charakter swoistego laboratorium artystycznego. Obok swoich płócien pokazują dorobek wybitnych twórców z całego kraju, co z kolei awansuje „Bramę" do miejsca faktycznego uniwersytetu sztuki. W minionym roku urządzili 5 wystaw, na których można było spotkać nazwiska tak znanych artystów, jak Kantor, Tarasin, Stażewski, Gierowski, Panek, Makowski, Dominik... Wystarczy, aby uzmysłowić sobie ambicje i charakter działalności Lengiewicza, Rybiego i Wołkowyckiego.

Powstaniu „Bramy" towarzyszyła nieufność — jakże inaczej! — pewnych środowisk, od których właśnie należałoby się spodziewać przynajmniej moralnego poparcia dla sprawy i odrobiny wyobraźni. Rozumiem jeszcze, że czynniki urzędowe mogłyby być zaskoczone pojawieniem się w Białymstoku egzotycznej instytucji, która nie ma pieczątki, firmowych blankietów i nie wyciąga natrętnie rąk po dotacje. Czynniki dostosowały się jednak do poziomu galeryjnej inicjatywy, a z czasem zaczęły ją nawet chwalić dobrym słowem, które chciałoby się potraktować jako zapowiedź bardziej namacalnej przyjaźni. A tamto właśnie środowisko — zamilczę jego nazwę, po co jątrzyć — do dziś wilkiem patrzy na „Bramę".

Najbardziej przecież niechętne spojrzenia nie mogą podważyć potrzeby istnienia galerii. Oto przekonujące dowody społecznego poparcia całej inicjatywy: codziennie przez dwie niewielkie salki przechodzą dziesiątki i setki widzów, głównie studentów i młodzieży szkolnej, która tu właśnie — zwróćmy na to uwagę! — pod kierunkiem nauczycieli kontynuuje lekcje z wychowania plastycznego. Zresztą na życzenie szkół zmieniono godziny otwarcia galerii, aby tylko umożliwić młodzieży estetyczną edukację.

Galeria cieszy się dużą popularnością w społeczeństwie Białegostoku, wrosła już w pejzaż kulturalny tego miasta, przydała mu nowy, oryginalny akcent. Wystarczy powiedzieć, że ubiegłoroczne wystawy obejrzało ponad 7 tysięcy osób. Rekordową frekwencję odnotowano w jednym z „Dni Oświaty, Książki i Prasy": 1700 zwiedzających! Społeczna, bo jak ją inaczej nazwać, inicjatywa trzech malarzy białostockich rozwinęła się tak dalece i okazała się tak potrzebna, że skromne choćby jej wsparcie przez jakiegoś mecenasa państwowego będzie nie tylko usprawiedliwione, ale w perspektywie i konieczne. W niczym, oczywiście, nie należy zmieniać programu artystycznego galerii, którego realizacja w pełni sprawdziła sensowność koncepcji Lengiewicza, Rybiego i Wołkowyckiego.

(IJK)

ekran i widz

Udręka i ekstaza

NIE byłem dotąd niewolnikiem „małego ekranu", a to z powodu specyficznego ćwiczenia woli, jakie od kilku lat uprawiam. Polega ono na konsekwentnym wydawaniu pieniędzy na różne zdrożne uciechy zamiast przeznaczania ich (pieniędzy), jak każdy szanujący się obywatel, na zakup telewizora. W związku z czym w hierarchii społecznej jestem zerem, jednostką dobrowolnie wyobcowaną. Co pewien czas budzi się jednak we mnie instynkt stadny. Wyruszam wówczas do znajomych. Ponieważ znajomi, jak wszyscy znajomi, posiadają telewizor, natychmiast po przywitaniu — jak obyczaj Polaków każe — przekręcają gałkę i podejmują mnie biesiadą telewizyjną.

Każda kolejna telewizyjna nasiadówka rozszerza moje horyzonty, pozwala wgłębić się w psychikę ludzką, czynić obserwacje nad wieczną tęsknotą rodzaju człowieczego do uprawiania perwersji. Przyznaję, że w początkowej fazie ja także, w bezustannym oglądaniu polskiego programu telewizyjnego, dostrzegałem groźne zjawisko zanikania życia towarzyskiego w ogóle, zaś wyjałowianie umysłów w szczególności. Potem skłoniłem się raczej ku teorii głoszącej, że telewizję oglądamy w celu samoumartwienia się, świadomego zadawania sobie bólu, i to był już krok w kierunku teorii teleperwersji gromadnej. Jednakowoż dopiero podczas świąt utwierdziłem się co do słuszności tej ostatniej teorii.

A było to tak: w pierwszy dzień świąt bezpardonowy imperatyw skierował me kroki ku najbliższej zaprzyjaźnionej podstawowej komórce społeczeństwa.

Telewizja Polska przygotowuje na takie okazje dania specjalne, pozwalające na wytworzenie nastroju intymności (chcąc nie chcąc, trzeba wszak zgasić światło), oraz na wykluczenie rozmów przy stole, które są rzeczą niebezpieczną; literatura fachowa odnotowała już niejeden przypadek zadławienia się ością karpia przez gadatliwego biesiadnika.

Przy drugiej butelce wina podano... „Estradę literacką". Nawet się ucieszyliśmy, bo w poprzednich dniach karmiono podobno telewidzów głównie kiszonkami, różnymi pokrętłami oraz fauną i florą morską ze szczególnym uwzględnieniem procesu pożerania małych rybek przez duże, a tu nagle, o dziwo! — „żywe słowo", muzyka fortepianowa, śliczna czołówka programu z wizerunkiem „Frycka" oraz nut jego własną ręką pisanych, słowem — „Korespondencja Chopina". A potem jedna pani, sławna aktorka, usiadła sobie przy stoliku, włożyła na nos okulary, otworzyła grubą książkę i zaczęła czytać.

Tymczasem podano kaczkę z jabłkami (u znajomych a nie w Telewizji), więc zabraliśmy się do jedzenia sądząc, że wkrótce zacznie się dziać na ekranie coś interesującego, to sobie znowu popatrzymy i nie będziemy musieli prowadzić nudnej, towarzyskiej konwersacji. Ale zdążyliśmy zjeść, a ta pani ciągle jeszcze czytała, z tym, że po kilkunastu minutach zaczęła się przesiadać z miejsca na miejsce, zapewne po to, żeby wprowadzić tzw. „element ruchu scenicznego". Czasami reżyser programu się nudził, więc naciskał guzik i na ekranie widać było nuty, lecz głos pani ciągle dochodził spoza tych nut. Ale tego nie można było ciągnąć w nieskończoność, więc ostatecznie reżyser znowu włączał panią. Ją już audycja też musiała dobrze znudzić, bo zaczęła czytać bardzo monotonnie, chociaż co kilka minut zdobywała się na wysiłek i uśmiechała się do książki.

Wówczas mój gospodarz zrobił coś, co w pierwszej chwili wydało mi się „studenckim" dowcipem, a dopiero później uświadomiłem sobie, że to świadoma czynność dorosłego człowieka, który z niejednego pieca chleb jadł i niejednej rozkoszy w życiu doświadczył. Otóż gospodarz wyłączył telewizor. Siedzieliśmy przez chwilę w ciszy, ale powoli zaczęło w nas narastać przemożne pragnienie, żeby przekręcić gałkę i przekonać się, czy pani czyta dalej. Napięcie rosło, członki nasze powoli ogarniało niepowstrzymane drżenie, aż wreszcie ktoś nie wytrzymał i... włączył. Czytała dalej. Przebiegło po nas coś jak prąd elektryczny.

Zapomnieliśmy nawet o jedzeniu. Gospodarz poderwał się ze zduszonym okrzykiem z fotela i wyłączył głos a zostawił sam obraz. Dalej czytała. I choć nie słyszeliśmy głosu wiedzieliśmy, że z ust jej nadal padają jednostajnie, równo odmierzane słowa i z zamierającym sercem śledziliśmy, czy uśmiechnie się w przewidzianym przez nas momencie. Potem gospodarz włączył radio. Akurat nadawano dziennik. Równomierny głos spikera precyzyjnie podkładał się pod ruch warg pani na ekranie. Potem zmieniliśmy falę. Towarzystwo wyraźnie rozruszało się. Zaczęto podsuwać mistrzowi ceremonii coraz bardziej wyrafinowane pomysły. W końcu biesiadnicy wpadli w rodzaj ekstazy, zaczęli dostawać lekkich konwulsji, tracili świadomość.

Wtedy reżyser programu uznał, że czas kończyć, pani zamknęła książkę i przestała czytać. Nie wiem, jak znalazłem się w domu. Rano obudziłem się z piekielnym bólem głowy i szumem w uszach jak po wypaleniu kilku fajeczek opium. Zrazu z wypadków poprzedniego dnia pamiętałem niewiele. Wiedziałem tylko, że przeżyłem PEŁNIĘ. Kiedy nieco później uświadomiłem sobie, że to wszystko było świadomym założeniem Polskiej Telewizji, ta cała ekstatyczna audycja — postanowiłem częściej odwiedzać znajomych.

(MD)

z bocznej trybuny

Co daje stójka?

PRZED kilkoma dniami pewien znajomy opowiadał mi o swoim synu. Otóż chłopiec ten pali się do sportu. Jest szybki, ruchliwy, kiedy w szkole grają w coś, każda drużyna chce widzieć go u siebie. Chłopiec ten natomiast nie potrafi wykonać prawidłowo stójki, dlatego właśnie obniżono mu stopień z wychowania fizycznego.

O podobnych wypadkach można dowiedzieć się przy każdej okazji rozmowy, czy to z rodzicami uczącej się młodzieży, czy to z samą młodzieżą. Program wychowania fizycznego w szkole ułożony jest na podobieństwo programu matematyki, czy innego przedmiotu ścisłego. Klasa ta i ta, ma skoczyć w dal tyle i tyle, wziąć tyle i tyle, przebiec 100 m w takim czasie, a 400 w takim. Jeśli uczennica czy uczeń uzyskają wyniki dużo gorsze od przeciętnych — dostają gorsze stopnie. A w odróżnieniu od matematyki — pewna część młodzieży, choćby wychodziła ze skóry, nie będzie nigdy w stanie sprostać swoim najlepszym, czy nawet średnim kolegom. Matematykę można na upartego wykuć na pamięć. Wątłej budowy, niski chłopiec, ćwicząc usilnie polepszy swój rezultat w pchnięciu kulą, nie będzie jednak w stanie pokonać chłopca tęgiego, wysokiego, bo tamten nawet przy minimalnym treningu pchnie tę kulę dalej. Co nie oznacza jednak wcale, że ten większy jest lepiej przygotowany do życia w sensie kultury fizycznej — a takie jest chyba zadanie szkoły w tej dziedzinie.

Z obserwacji każdy człowiek wie zapewne, że miał w swojej klasie kolegów, wyróżniających się masywną budową fizyczną i dużą siłą, którzy byli ulubieńcami nauczycieli WF, gdyż wykonanie ćwiczeń, wymagających większego wysiłku, przychodziło im łatwiej niż innym. A potem, po 15—20 latach, następuje jakieś przypadkowe spotkanie i oto nagle okazuje się, że ten silny, krępy chłopak jest dziś otyłym panem, cierpiącym na nadciśnienie i dolegliwości serca, dostającym łatwo zadyszki, mało ruchliwym, wyglądającym za poważnie na swój wiek. Natomiast owe chuchro, które jednak lubiło spacery, wycieczki, pływanie, wyrosło na szczupłego, ale zdrowego mężczyznę, cieszącego się dobrym zdrowiem, pełnego życia i temperamentu.

Ale wtedy, w szkole, lepsze stopnie dostawał osiłek. Program WF obliczony jest bowiem przede wszystkim nie na wyrobienie w młodzieży zamiłowania i nawyku do ruchu, do sportu, do przebywania na świeżym powietrzu, do codziennej porannej gimnastyki, lecz do wykonywania określonych ćwiczeń i uzyskania określonych wyników. W rezultacie więc często bywa, że nawet najlepsi uczniowie WF, którzy wyniki swoje uzyskali dzięki wrodzonym warunkom fizycznym, gdy ustanie przymus szkolny jedyny kontakt z kulturą fizyczną utrzymują za pośrednictwem oglądania w telewizorze ciekawszych meczów.

Oczywiście, trudno mieć pretensję do szkoły czy nauczycieli. Realizują taki program, jaki im narzucono. Niektórzy pedagodzy stosują swoistą gradację, postawią czwórkę pracowitemu mikrusowi, a trójkę leniwemu drągalowi, lecz jest to dla nich dość ryzykowne, bo taki drągal zapyta: „czemu, panie psorze? Ja przecież skaczę dalej." Częstsza jest więc taka postawa, o jakiej opowiadała mi niedawno pewna pani: syn jej grał w szkolnej drużynie koszykówki i dostawał zawsze piątki z WF. Niedawno jednak zaczął brać korepetycje z angielskiego i biologii, na treningi nie wystarcza mu już czasu, zrezygnował z gry, więc dostaje już tylko czwórki, choć na samych lekcjach WF nie wypada gorzej niż poprzednio. Opowiadano mi jeszcze o innym wypadku: syn mego znajomego, wyjątkowo wątłe dziecko i mające z tego tytułu sporo kompleksów, unika zajęć WF jak tylko może. Nauczyciel idzie mu na rękę, zwalnia, daje tróje na okres, byle zepchnąć kłopot z głowy, bo cóż po takim w szkolnej drużynie? A tymczasem ten właśnie słabeusz powinien być otoczony szczególnie gorliwą uwagą na zajęciach WF.

Młodzież powinna wyżywać się w sporcie. Sport ma nie tylko walory zdrowotne, lecz i wychowawcze. Obok ciała, hartuje i ducha, uczy koleżeńskości, wyrabia wolę rywalizacji. Lecz to nie są jedyne zadania WF w szkole. Sportu wyczynowego nikt nie będzie uprawiał do końca życia, natomiast chodzić na spacery, pływać, pograć w siatkówkę, nawet w dwa ognie — powinien zawsze.

Publicyści parający się problematyką sportową mają nieraz pretensje do szkoły średniej, że wypuszcza maturzystów nieprzydatnych do gry w klubach sportowych wyższych uczelni. Pretensję trzeba mieć chyba także i o to, że wielu młodych ludzi, kiedy niepotrzebny jest im już stopień, czy zaliczenie w indeksie, siadają sobie statecznie w głębokich fotelach i powoli dorabiają się sadła oraz chorób naczyń wieńcowych. Osobiście stójkę potrafię wykonać do dziś. Czy to jednak wszystko?

(R. W.)

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante honorarium nie płacimy.

Sprawa już nieco nieaktualna, bo o święta chodzi, ale czegóż się nie robi dla poezji. Pragniemy więc poinformować czytelników, że nasi przemili korespondenci do swoich sukcesów na poetycznym polu zaliczają też wiersze okolicznościowe. Publikujemy dwie próby, z racji Bożego Narodzenia, czy świąt w ogóle, napisane.

Pan T. S. z Bielawy:

Nad kołysankami naszych
niemowląt
Dziś betlejemska gwiazda świeci,
Ojczyznę mamy piękną, wolną,
Choinką cieszą się Jej dzieci,
Z dziećmi cieszymy się, dorośli,
Kolędujemy głośno, głośno.

„Nana" z Wrocławia nadesłała filozoficzne impresje wokół marności ludzkiego życia osnute z kolei wokół „nie choinkowej banieczki". Odległa to analogia do świąt, ale zawsze... Czytamy m. in.:

Dmuchasz powolutku, delikatnie...
Bańka pęcznieje, rośnie, mieni się kolorami tęczy, gra. Patrzysz jak urzeczona. Oniemiałaś z zachwytu.
Wyciągasz rękę, chcesz dotknąć, chcesz namacalnie przekonać się, że to nie sen.
Czar pryska, — bańka pęka. Nic, — PUSTKA, parę kropel wody mydlanej, rozchlapanej wokół.

Nasza rubryka posiada już stały charakter oraz stałych sympatyków i korespondentów. I tym więc razem pozwalamy sobie powrócić do spraw, które nas tutaj poprzednio zajmowały. Drukujemy sprostowanie p. W. L. z Lublina:

Wysłałem do Państwa wierszyk, który zaczynał się od słów:

Czy znasz morza brzeg
nadwiślański

o którym mówiliśmy już itd.
Śmiesznie to wygląda „morza brzeg nadwiślański, lepiej było by „morza brzeg bałtycki". Morza brzeg nadwiślański ja wyobrażam sobie to miejsce gdzie wisła wpada do morza, a jeżeli jest to „głupie", to proszę poprawić „morza brzeg bałtycki.
Piszę to gdyż długo nie otrzymuję odpowiedzi i zastanawiałem się nad tym, że to może bez ten „morza brzeg nadwiślański".
Proszę o wyjaśnienie i proszę o odpowiedź na pytanie z pierwszego listu.

Sprostowanie nadeszło, niestety, zbyt późno. Wierszyk poszedł już w „Poste Restante".

Sprostowanie

W nr 26 „Kameny" (1968) na str. 13 nazwisko autora wiersza „Objęcie" powinno brzmieć: STANISŁAW STANIK, a nie — jak omyłkowo wydrukowaliśmy — Stanisław Astanik. Jednocześnie przepraszamy autora za odwrotnie ułożony werset w tym samym utworze.

Listy do KAMENY

„PROSZĘ O GŁOS W SPRAWIE PRZYSZŁOŚCI KIELC"

Artykuł „Proszę o głos w sprawie przyszłości Kielc" („Kamena" nr 22 z dn. 22 X 1968 r.) wbrew tytułowi jest oczywistym nieporozumieniem.

Wywołuwczy głos red. Danielaka, jak i mój artykuł opublikowany na łamach „Kameny", miały przede wszystkim za zadanie zwrócenie uwagi na perspektywiczny rozwój miast, na ich przyszły wygląd, który powinien być zgodny z nowoczesnymi zdobyczami nauki w dziedzinie budownictwa, planowania przestrzennego — i sprowokowanie do konstruktywnej dyskusji. Intencją mojego artykułu było więc, ażeby rozwijające się miasto otrzymało właściwą zabudowę i żeby nie było obojętnym, gdzie zbudowane będą wysokościowce, gdzie będą usytuowane ciągi komunikacyjne, jak będzie wyglądać nowy dworzec PKP i czy będzie mógł spełniać zadanie swoje za kilkanaście lat, czy będą pozostawione miejsca z natury rzeczy odpowiednie na rekreację. Obojętność w tym względzie i kierowanie się jedynie doraźnymi celami — jak budowa bloków mieszkalnych byle gdzie, byle szybciej, byle taniej, bo teren uzbroje-

Dokończenie na str. 11

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

* W „Galerii w Bramie" wystawiają swe prace prof. prof. Dominik, Panek i Stażewski oraz Jerzy Lengiewicz, Stefan Rybi i Mikołaj Wołkowycki.

* Harcerski szczep „Komandos" przy I Liceum Ogólnokształcącym w Białymstoku zorganizował sesję popularnonaukową na temat historii ruchu robotniczego.

* W Technikum Leśnym w Białowieży rozegrano finał ogólnopolskiego konkursu czytelniczego ZBoWiD — „Co wiem o udziale leśników w cywilnym i zbrojnym ruchu oporu w okresie II wojny światowej". Zwycięzcą konkursu został uczeń Technikum Leśnego w Goraju — Andrzej Kazimierczak. Drugie miejsce zajął uczeń Technikum Leśnego w Białowieży — Mikołaj Chomczyk.

* W obchodach 50-lecia Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej w Grodnie uczestniczyła delegacja Białostoczyzny — sekretarz KW PZPR Witold Mikulski, zastępca przewodniczącego Prezydium WRN — inż. Jerzy Zientara, sekretarz KM PZPR w Białymstoku — Józef Trusiewicz i przewodniczący Prezydium MRN w Białymstoku — Zygmunt Bezubik.

KIELCE

* W Kielcach odbyła się dwudniowa krajowa konferencja Towarzystwa Szkół Świeckich, zorganizowana przez zarządy wojewódzkie TSS w Kielcach, Krakowie, Lublinie i Rzeszowie. Referat zasadniczy pt. „Postępowe laickie prądy w oświacie, wychowaniu i kulturze Polski w okresie pięćdziesięciolecia 1918—1968" wygłosił dr Tadeusz Dowiat z Instytutu Pedagogiki w Warszawie.

* Wczesnośredniowieczne grodzisko koło Wiślicy zostanie zrekonstruowane i udostępnione turystom. W czasie badań archeologicznych odkopano fragmenty wału obronnego grubości ok. 2 metrów. Grodzisko znajdowało się na wyspie oblanej wodami Nidy i broniło dostępu do miasteczka od strony południowo-wschodniej.

LUBLIN

* W Operetce Lubelskiej odbyła się premiera „Wesołej Wdówki" Lehara. Przedstawienie przygotowali: Xenia Grey — inscenizacja i reżyseria, Bolesław Ocias — opracowanie muzyczne, Roman Bubiec — scenografia, Zygmunt Patkowski — choreografia.

* W Klubie MPiK czynna była Ogólnopolska Wystawa Fotografii Artystycznej i Krajoznawczej prezentująca dorobek około 30 autorów z różnych regionów kraju.

* W salach BWA otwarto wystawę malarstwa i rzeźby Ogólnopolskiej Grupy „Zachęta".

RZESZÓW

* Członek Biura Politycznego, I sekretarz KW PZPR w Rzeszowie, Władysław Kruczek, i I sekretarz KW PZPR w Lublinie, Władysław Kozdra, spotkali się z Senatem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Tematem spotkania były problemy związane z powołaniem filii UMCS w Rzeszowie.

* Stu kilkudziesięciu działaczy i pracowników kultury z całego województwa obradowało na sejmiku poświęconym zadaniom w pracy kulturalno-oświatowej po V Zjeździe PZPR.

* W salach BWA w Rzeszowie otwarto wystawę plastyki użytkowej i form przemysłowych.

* Kabaret „Skra" Domu Kultury Zakładów Przemysłu Gumowego w Dębicy zakwalifikował się do finału V ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki i Zespołów Instrumentalnych Związku Zawodowego Chemików.

Ambitny regionalizm

Z PRAWDZIWĄ przyjemnością należy odnotować pojawienie się „Karty Groni" wydanej przez bardzo prężne Towarzystwo Miłośników Ziemi Żywieckiej oraz Wydział Kultury i Oświaty PPRN w Żywcu. Jakkolwiek „Karta Groni" ukazała się w związku z 700-leciem Żywca, stanowiąc jeden z akcentów uświetniających piękną uroczystość, redakcja ma zamierzenia ambitniejsze: nie chce traktować wydawnictwa jako okolicznościowej efemerydy, lecz pragnie je kontynuować jako nawiązanie do „Groni" wychodzących w latach 1938—1939 i skupiających wokół siebie entuzjastów Beskidu i Ziemi Żywieckiej. W „Słowie wstępnym" czytamy:

Żywiecczyzna jako basen wybitnie turystyczny i rekreacyjny nie tylko dla przemysłowego Śląska, potrzebuje nieodzownie pisma, które z jednej strony pokazywałoby walory żywieckiego regionu tak w przeszłości jak i w dniu dzisiejszym, z drugiej strony stałoby się ośrodkiem mobilizującym do twórczego wysiłku tych wszystkich sił, którym zależy na rozwoju gospodarczym i kulturalnym Żywiecczyzny.

Łączony nr 1—2, odznaczający się wyjątkową starannością graficzną, niewątpliwie spełnia owe deklaratywne zamierzenia. Znajdujemy w nim interesującą zawartość informacyjną o przeszłości regionu, o jego dorobku gospodarczym i kulturalnym oraz o ambitnych zamierzeniach na przyszłość. Znalazły tu również swój wyraz kłopoty dotyczące rozwoju sztuki ludowej, będące zjawiskiem szerszym i charakterystycznym dla współczesności w skali krajowej a nie tylko regionalnej. Na nasze czasy przypada proces szeroko zakrojonej unifikacji społeczeństwa w sensie kulturalnym, zanikanie różnic między miastem i wsią, wynikające ze stałego podnoszenia się stopy życiowej wsi oraz z dostępności środków masowego przekazu, a co za tym idzie, uzasadnione odchodzenie młodszego pokolenia od tradycji regionalnych i powolne zanikanie folkloru. Ponieważ istnieje poważne zapotrzebowanie społeczne na sztukę ludową, bardzo istotnym problemem jest jej autentyczność i wartości artystyczne. Popyt na rzeźby, tkaniny i inne tego typu przedmioty tworzy potencjalne niebezpieczeństwo pojawiania się profesjonalistów powielających i imitujących uproszczone, pozbawione ambicji artystycznej wzory, szerzące przy okazji pamiątkarstwa modę na pseudoludowe szkaradzieństwa, będące szkołą złego smaku. Godnym naśladowania jest przykład troski o jakość owej twórczości manifestowany przez władze Żywca, które zajęły się tym problemem i starają się nie dopuścić do rozpowszechniania szmiry na własnym terenie. Na uwagę zasługuje również zainteresowanie organizacją życia kulturalnego (ludowe zespoły regionalne, biblioteki, świetlice itp.) idące w parze z rozwojem gospodarczym regionu.

Duży fragment wydawnictwa stanowi arkusz literacki, zawierający nawiązanie do tradycji literackich Beskidu (m. in. wspomnienia poświęcone E. Zegadłowiczowi oraz przedruk jednego z jego wierszy). We wstępie do arkusza padają ważkie słowa:

Wszystko tu jest prawdziwe, nie (!) udane, niestylizowane i nie kunktatorsko wydumane — jest emocjonalne. Jest zachwytem lub oburzeniem. Jest prawdą. Jest rdzeniem p o e z j i!

Trzeba docenić najlepsze chęci i twórców i redakcji, ale nie sposób przejść obojętnie nad jakością prezentowanej w arkuszu produkcji literackiej w jej przeważającej liczbie. Nie jest to miejsce na spory, czym właściwie jest literatura a liryka w szczególności, jednakże jedyną obowiązującą ją prawdą jest prawda wewnętrzna i wewnętrzna koherencja. Trzeba niewątpliwie docenić potrzebę pisania, przekazywania własnych odczuć i przemyśleń, nie wolno jednak utwierdzać ludzi, że są poetami, jeśli ich produkcja pozostawia wiele do życzenia. Niestety, poziom publikowanej w arkuszu liryki jest bardzo nierówny i trudno wykryć zasady kwalifikujące utwory do druku. W pięknym piśmie znalazło się sporo wierszy przypadkowych, wtórnych, które nawet bez zestawiania z Zegadłowiczem (co byłoby kompromitujące dla większości autorów), są przykładami jak pisać nie wolno. Dla przykładu weźmy wiersz W. J. Bacy pt. „Babiogórcy" z roku 1940, który w konwencji stylizowanej ballady ludowej (w sensie gatunkowym i językowym, gdyż autor wprowadza elementy gwary w funkcji podkreślenia autentyzmu i jednocześnie w funkcji ornamentu) stara się poetycko zrealizować motyw hitlerowskiej napaści na Polskę. Autor nie potrafił przeciwstawić początkowej idyllicznej wizji świata widzeniu drugiemu, które oddając ciężar gatunkowy tragicznego wydarzenia powinno być bardzo mocno zaakcentowaną przeciwwagą elizejsko-ludowego pejzażu części pierwszej utworu; autor po prostu nie potrafił udźwignąć tematu. Dodatkowymi negatywami utworu są wyzyskiwane stereotypy i szablony językowe modernizmu, które już w okresie dwudziestolecia były dostatecznie skompromitowanym sposobem poetyckiego obrazowania. Niestety, pokutują one do dziś, pojawiając się głównie, o dziwo, w poezji twórców ludowych. Zjawisko to dotyczy nie tylko wiersza Bacy, który hojnie okrasza go wyrażeniami takimi jak: „kiedy miedz grzędę srebrzystość rannych mgieł zwiewnie otula", „serce spłakane od wzbierającej pieśni", „słońce z porannej wybłysnęło zorzy, złotym bisiorem krainę olśniło"; ma ono, niestety, zasięg szerszy i dający się również dokumentować na utworach zamieszczonych w arkuszu poetyckim „Karty Groni". Tę samą niedobrą manierę widać w wierszu Bartyzela, Bilka, Harnasia z Beskidu i innych. Na tym tle odcinają się wyraźnie utwory A. Jończy czy E. Michalskiej prezentujące autentycznie poetyckie widzenie świata, nawiązanie do tradycji twórczości ludowej i brak pretensjonalności. Należałoby chyba radzić redakcji przeprowadzanie ostrzejszej selekcji nadsyłanych utworów i eliminowanie wszelkiej literackiej wtórności. Byłoby szkoda, gdyby ambitne pismo osłabiało swój poziom tego rodzaju „twórczością".

Na marginesie warto chyba przypomnieć redakcji, że nie jest praktykowane umieszczanie nazwisk w spisie treści jeśli nie były one zamieszczone pod publikacją; dotyczy to raptularza. Podobnie należy w przyszłości inaczej organizować indeks nazwisk, gdyż np. hasło: Deus vide: Dzeus i Zeus wygląda co najmniej humorystycznie, nie mówiąc już o nieadekwatności znaczeniowej. Ale te minimalne usterki jest w stanie naprawić lektura jakiegokolwiek podręcznika edytorstwa.

W sumie z radością należy powitać ambitne i potrzebne pismo, które ukazuje przeszłość i teraźniejszość pięknego regionu.

U. K.

moje LEKTURY

W *Dachach Lublina* Heleny Platty znajdujemy taką strofę:

Ulica szpitalem obrosła:
— tódź uska — rufą ku północy,
pierwsze moje w Lublinie kroki
poetyckim sterowała wiosłem.

To prawda. Wprawdzie pierwszy tom utworów poetyckich autorki *Kręgów na szkle*, wydany w Lublinie w 1937 r., obejmował wiersze dawniejsze, pisane gdzie indziej, ale już w nim pojawiła się nuta lubelska, już wtedy zauroczona „księżycowym Lublinem" autorka pisała o rynku, ulicy Lubartowskiej, o Starym Mieście. Dyskretnie patronowali tym lirykom autorowie *Starych kamieni:* Franciszka Arnsztajnowa i Józef Czechowicz. Nić lubelska przeplatała i następne zbiory Heleny Platty, przede wszystkim *Księżycowy Lublin* i właśnie *Dachy Lublina*.

Kilka lat temu poetka poszła starym szlakiem poetów lubelskich — ku Warszawie. Nie rozstała się z nim jednak w poezji. *Zielony chorał*[1]) zawiera znowu sporą garść wierszy, które zrodziły się z zachwytu nad krajobrazem, z zapatrzenia się w uroki starej architektury, z zasłuchania się w tradycję historyczną. *Kazimierz, Esterka, Pomnik Jana Kochanowskiego w Lublinie, Pożar.* Ale — wydaje się — jest to strumień już zanikający, rozpływa się on coraz bardziej w szerszym pejzażu, który traci związek ze ściśle oznaczoną geograficznie sytuacją, w centrum widzenia poetki staje się sam krajobraz, całkowicie się on autonomizuje.

Nie można powiedzieć, by to była rzecz zupełnie nowa u autorki *Zielonego chorału*. Przecież w *Kręgach na szkle* przyroda inspirowała wiele wierszy. Jednak nie stała się ona w takim stopniu jak obecnie bohaterem lirycznym, jej poszczególne elementy nie usamodzielniały swego istnienia do tego stopnia. *Zielony chorał* jest prawdziwym zielnikiem poetyckim. Autorka łączy tu swoją wrażliwość poetycką z botaniczną niemal ścisłością rysunku.

Usamodzielnienie świata przyrody posunięte jest aż do personifikacji, do nadawania roślinom cech osobowych, jak choćby w wierszu *Piołun*.

Przeżywanie krajobrazu w wierszach Heleny Platty nie ma żadnych cech pięknoduchostwa ani niedzielnego zachwytu mieszczucha. Wynika ono z najgłębszej potrzeby, realizuje się w nim świadoma postawa poetki, która szuka w ten sposób jedności ze światem, nawiązuje z nim najściślejszą łączność. Jest warunkiem życia, co wiersz tytułowy wypowiadał z wielką dokładnością.

Pejzaże *Zielonego chorału* są poetyckie i bardzo muzyczne. Muzyka jako temat i muzyczność jako zasada organizacyjna wiersza obecne były i dawniej u Platty. Ale w ostatnim tomiku zaistniało nowe zjawisko i to w skali bardzo szerokiej. Mam na myśli wewnętrzny ustrój dźwiękowy, instrumentację głoskową i bogatą aliterację wiersza. To owe „kilometry metrów rytmów tryby twarze mutr", czy „żyły dróg dymią tym mianem tymianek", przykładów w całym zbiorze jest wiele. Te dźwiękowe spięcia i zazębiania tonów na pewno wiersz wzbogacają, ożywiają go, czasem jednak istnieją same dla siebie, nie otrzymują wyraźnej funkcji poetyckiej .Ale o to można się spierać, takie sprawy zależą zwykle od indywidualnego odczucia.

Także wiersze Kazimierza Śladewskiego[2]) wyrastają z ziemi, z krajobrazu, z życia. Ich obrazy, metaforyka, cały budulec i język odnoszą się do pejzażu, bardzo ściśle określonego i konkretnego: chodzi o ziemię mazowiecką. A jeśli tak, to pamięć przywołuje niemal natychmiast gotowe skojarzenia, czyni historyczno-literackie odsyłacze: Lenartowicz, Broniewski. Tak, ale te dwa przykładowe nazwiska „poezji mazowieckiej" mówią, że te same sprawy i przeżycia mogą przyjmować odmienny kształt. Coś wspólnego jednak pozostaje; przecież szorstka i ostra mowa Broniewskiego w wierszach o Mazowszu staje się płynna, łagodna, prawie melancholijna.

Śladewski podejmuje nuty „lirników mazowieckich" mniej efektowne. Upomina się on o ludzi do tej pory w poezji pominiętych, pisze o „ustrojonej w łachman kucharce", opisuje w swoich utworach monotonny mazowiecki pejzaż. Wydaje się, jak by programowo przyjął schematyczne i stereotypowe wyobrażenia związane z podejmowanymi tematami. Zdaje się sądzić, że zwykłości i szarości — by nie powiedzieć banalności widzianego świata należy się taki sam odpowiednik artystyczny, zgrzebny, jednostajny wiersz. „Szarość" — to chyba najwłaściwsze określenie wrażeń wyniesionych z czytania większości wierszy *Wiklinowych furtek*. Wiersze Śladewskiego w przeważającej części pozbawione są zasad kompozycyjnych, zdania nawarstwiają się w sposób przypadkowy i mechaniczny, wiersze kończą się bez wyraźnej motywacji artystycznej. Śladewski upodobał sobie przy tym takie środki poetyckie, jak rozwinięte porównanie i przymiotniki, one także przyczyniają się wybitnie do monotonii wierszy, odbierają im dynamikę.

Zaczyna się dziać coś w tych wierszach dopiero wtedy, gdy rzeczywistość w nich różnicuje się, kiedy jeden element świata przeciwstawia się innemu; wówczas wiersz okazuje znaki życia, przyciąga uwagę. Np. w *Nazywaniu rzeczy* koń weselny przeciwstawia się cygańskiej szkapie, kosz na brukiew — koszowi bardziej odświętnemu:

Wstydzą się siebie nie poznają się w progu
Tak jak się wstydzi soboty niedziela.

Właśnie nobilitacja nawet najpowszedniejszej rzeczywistości, utrwalenie jej i przekształcenie poetyckie — oto zadanie poety. Nie — zgoda na nią, ale przeniesienie jej w inny wymiar.

Autor *Wiklinowych furtek* chyba zdaje sobie z tego sprawę. Czy jednak uda mu się wyjść poza koło przyjętych konwencji? Oczywiście, nie musi to oznaczać wycofania się z obecnych terenów, ale to, co teraz jest przeszkodą, winien przemienić na wartości dodatnie. Chodzi tylko o to, aby zamierzenia wypowiedziane w wierszu *O sobie* nie pozostały jedynie deklaracjami, by wypowiedzi w rodzaju „lęki zasiane w druku" miały rzeczywiste pokrycie. Powinien też poeta zrezygnować z muzyczności czysto werbalnej, a uczynić ją nieodłączną częścią materii poetyckiej. Inaczej prośba o rozgrzeszenie z wierszy (s. 34) może nie być uwzględniona.

Kilka ciekawych wierszy — to na razie wszystko. Dużo to czy mało? Zależy od ambicji autora. Na jeden utwór chciałbym szczególnie zwrócić uwagę: *W uzdrowisku na balu*. Kto wie, czy nie okaże się on otwarciem drzwi ku nowym drogom. Wiersz zwarty, odkrywczy, w którym nie ma zbywającego słowa.

Tadeusz Kłak

[1] Helena Platta: Zielony chorał. Lublin 1968. Wyd. Lubelskie.
[2] Kazimierz Śladewski: Wiklinowe furtki. Kraków 1968. Wyd. Literackie.

„PROSZĘ O GŁOS W SPRAWIE PRZYSZŁOŚCI KIELC"

Dokończenie ze str. 10

ny, bo ludność czeka na mieszkania — odbije się w sposób niekorzystny nie tylko na naszej kieszeni, ale i na zdrowiu mieszkańców. Namacalnym przykładem w dziedzinie produkcji jest afera z tanią instalacją elektryczną w Zakładach Gipsowych w Nowinach. Jesteśmy społeczeństwem biednym, na dorobku i nie stać nas na tego rodzaju nieprzemyślane kroki, które nie mieszczą się w dziedzinie dopuszczalnego ryzyka.

Autor artykułu zawęża powyższy temat do krótkowzrocznych, teraźniejszych celów i akceptacji tego, co inwestor wymyślił, bez względu na to, czy to będzie ładne czy brzydkie, bo ludzie z biegiem czasu przyzwyczają się.

Jego argumentacja typu: pałac nie Wawel (choć są klasy O), dworzec PKP nie hotel, Silnica nie Wisła — jest zawracaniem kijem Wisły czyli czystą frazeologią i demagogią a to właśnie mnie, jako prawnika, niesłychanie smuci i rozczarowuje. Spodziewałem się bowiem, że kieleccy architekci już tak namacalnie sprowokowani, przedstawią wizją swojego miasta, wizję przestrzenną regionu. Niestety, do tej pory nie doczekałem się tego. Najwidoczniej nie ma takich wizji, i aczkolwiek nie dziwię się, że nie ma w naszym mieście Corbusierów czy Hansenów i że Kielce to nie Paryż, to jednak zarówno w Paryżu jak i w Kielcach są identyczne problemy z dziedziny urbanistyki i architektury.

Wielki Corbusier przewróciłby się w grobie, gdyby ujrzał wieżowce zastaniające widok: na osi widokowej Luwr — Pola Elizejskie — Place de l'Etoile — i nowe centrum Place Defense, w alejach NP Marii w Częstochowie, od strony Wisły na warszawską Starówkę, czy na osi widokowej wzgórze zamkowe — Karczówka w Kielcach, bowiem to byłyby właściwe przykłady na niewłaściwą zabudowę. Autor tego jednak nie dostrzega i dlatego wydaje o sobie świadectwo ignoranta w dziedzinie przestrzennej zabudowy i praw rządzących tą zabudową (tak wielokrotnie podkreślanych dziś problemów jak: — ochrony zasobów przyrody — ochrony krajobrazu — problemy kompozycji krajobrazu — konfiguracji terenu — perspektywy itp.). Z powyższych względów nie należy dziwić się, że nie widzi (co prawda z najniższego punktu, jakim jest rondo) wzgórza Karczówki, jakkolwiek wzgórze to jest widoczne z tegoż ronda, że „brak Mu wyobraźni" i nie widzi domów parawanów, które jeszcze nie są pobudowane (oby ich nigdy nie ujrzał), a widzi jedynie biskupa stojącego przed portalem katedry i świątobliwe stostrzyczki z karczówkowskiego klasztoru, rozdające wiernym medaliki. To już nie tango „Gdzie twoje serce" ale „Kwiat czerwony", tak czerwony, że prawie purpurowy, kardynalski. (Słowo daję, że ja nawet nie chciałem aż tak antyklerykalnie).

Plan miasta Kielc odznaczony nagrodą Ministra Budownictwa, na który tak chętnie powołuje się Autor, nie przewidywał zabudowy pasa widokowego: wzgórze zamkowe — Karczówka. Wiem, że plan ten jak każdy plan nie powinien być nazbyt rzeczą świętą, ale zmiany jego, jeżeli są konieczne, powinny iść w kierunku jego udoskonalenia, a stowarzyszenia SARP, TUP powinny rozwijać na te tematy fachową dyskusję i popularyzować te problemy. Niestety, stowarzyszenia te nie wykorzystały dotychczas gościnnych łamów „Kameny" i nie poruszyły ich spokoju nawet „Zadry" z „Fundamentów". Zespół projektujący, który był autorem tego planu, jest już tak przetrzeblony, że prawie chyba nie istnieje. Jeden z ostatnich niedobitków, który ośmielił się zabrać głos krytyczny na temat zabudowy miasta, otrzymał wypowiedzenie umowy o pracę. Zadziałało tu w sposób bezpośredni tak zucane „prawo Teofila" z „Listów Teofila" w nr 48 „Szpilek".

Fakty te potwierdzają ogólne wnioski mojego artykułu „Kłócę się o Kielce jutra", i nie dziwię się, że Przyboś może pisać z dziedziny futurologii „Jak budować Polskę" (znów „Życie Warszawy"), ale architekt musi poważnie zastanowić się, nim weźmie pióro do ręki, bo inaczej dadzą mu w łapę, a ile nie gorzej. Cierpi na tym popularyzacja tej bezsprzecznie sztuki budowania miast a także wielospecjalistycznej wiedzy, wśród maluczkich i wśród tych na „świecznikach" a tym samym cierpi na tym miasto i jego mieszkańcy.

W tej sytuacji konia z rzędem albo może i gazelę temu budowlańcowi, który wie, na czym polega (LSC) linearny system ciągły Hansena. Ja właśnie liczyłem na to, że urbaniści wyjaśnią mi bliżej te zagadnienia, lecz przeliczyłem się.

Na zakończenie należałoby zachęcić Autora do przeczytania „Lalki" B. Prusa, ażeby dowiedział się, którędy jechała kolej warszawsko-wiedeńska oraz przestrzec Go przed używaniem wyrazów obcych, jak np. „voix paix", a przecież można by po prostu, po polsku „w łapę".

„Faux pas", p. Autorze, „Faux pas"!

Zbigniew Pikor
KIELCE
Hipoteczna 7

„TROPEM LUDZI MAJORA HUBALA"

Dobrze się stało, że Mirosław Derecki zainteresował się tymi ludźmi, którzy nie będąc formalnie w oddziale majora Hubala współpracowali z nim ściśle i z narażeniem życia umożliwili mu działanie. Historia eksponuje przede wszystkim głośnych bohaterów, ale zazwyczaj milczy o tej szarej gwardii, która była fundamentem dla pomnikowych postaci. Przypomnienie tych żołnierzy w garniturach jeszcze raz potwierdza, że Polacy w chwilach zagrożenia egzystencji narodowej potrafią solidarnie walczyć z wrogiem. Ten właśnie zbiorowy patriotyzm pozwolił nam przetrwać niejedną ciężką chwilę w dziejach. Niech więc Pan szuka, Panie Derecki, tych cichych bohaterów, niech młoda generacja uczy się na ich biografiach miłości do rodzinnego kraju.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Maria Kamińska
LUBLIN
Balladyny 4

„MOWA DZIADA DO OBRAZU CZYLI O FILMOWEJ POPULARYZACJI SZTUKI"

Jako zorientowany w problematyce filmów oświatowych, chciałbym dorzucić kilka informacji do tych, które przedstawił Ireneusz J. Kamiński w artykule z 26 numeru „Kameny". Rzeczywiście, to aż 95 proc. kopii filmów polskich znajdujących się w dyspozycji „Filmosu" należałoby wycofać z obiegu ze względu na stopień ich zniszczenia. Ponadto filmy te są dość krótkie, od kilku do kilkunastu minut trwa ich projekcja, podczas gdy filmy radzieckie i zachodnie nierzadko przekraczają pół godziny i więcej. Nie jest to sprawa błaha, albowiem pewne obiekty czy problemy sztuki wymagają szerszego omówienia, nie można ich odfajkować w 10 minut. Przyczyna nazbyt krótkiego metrażu naszych filmów o sztuce jest dość prozaiczna: oto obowiązuje nadal ustalone po wojnie zryczałtowane honorarium za filmy tego typu. Jeśli realizator otrzymuje tę samą stawkę za obraz 10-minutowy co za półgodzinny — można przypuszczać, że „machnie" dziesięciominutówkę, czemu specjalnie dziwić się nie można, albowiem żyć przecież trzeba... Inna sprawa to propaganda sztuki polskiej za granicą. I. J. Kamiński wspomniał o tym, ja pragnę tylko rzecz sprecyzować. Nasze ambasady mają trochę filmów na wiadomy temat, ale w większości dotyczą one sztuki ludowej. W ten prosty sposób potwierdzamy lansowane tu i ówdzie opinie, że Polska to kraj garncarzy, tkaczy, malarzy na szkle, pracujących w chatach krytych słomą. Oczywiście, pokazujmy, chwalmy się rodzimą twórczością ludową, jakże oryginalną, wspaniałą! Ale równocześnie informujmy, że kultura artystyczna mieści takie fakty jak Wawel, Wilanów, kaplica na Zamku w Lublinie, oraz nazwiska tej miary co Michałowski, Wojtkiewicz, Brzozowski, Gierowski...

Z poważaniem

Janusz Groszkowski
GDAŃSK
Warszawska 26

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-53, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować na adres: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — na adres redakcji.

Zam. 1. 2.1.1969. F-4.

Kamena str. 11

Z ŻYCIA WZIĘTE

Opinia

W REDAKCJI, w której jeszcze niedawno pracowałem, zdarzył się ciekawy wypadek. Jeden z kolegów, nazwijmy go Iksiński, napisał artykuł omawiający jakiś projekt rozbudowy miasta. Nie było to żadne cudo, po prostu materiał, od jakich pęcznieje redakcyjna teczka. Pewnego dnia „dzieło" Iksińskiego znalazło się w gazecie. Po pewnym czasie znaleźliśmy w redakcyjnej poczcie obszerny list, polemizujący z artykułem Iksińskiego. A więc ktoś zauważył tę miernotę i potraktował ją poważnie. List polemizował z tezami artykułu Iksińskiego w sposób kulturalny i ze znajmością rzeczy. Postanowiliśmy zamieścić go w gazecie na prawach normalnego artykułu.

Po dwóch dniach redakcja otrzymała nowy list, w którym jakiś czytelnik występował i przeciw Iksińskiemu i przeciw jego krytykowi. I ten list zamieściliśmy.

Mieliśmy więc już trzy stanowiska w jednej sprawie. Iksiński promieniał. Widocznie nie docenialiśmy jego artykułu. Czekaliśmy więc ze skruchą na następne głosy. Ale nikt się więcej nie odezwał. Pod koniec miesiąca wysłaliśmy honorarium autorowi listów. (Normalnie za listy się nie płaci, ale te potraktowaliśmy jako artykuły dyskusyjne). Po kilku dniach poczta zwróciła nam oba przekazy z adnotacją: adresat nieznany, podany dom nie istnieje. Nie wiedzieliśmy, co się stało. Czyżby pomyłka w adresach? Lub anonimy ukryte pod „dobrze brzmiącymi" podpisami?

Wyjaśnienie przyszło parę miesięcy później. Iksińskiemu rozwiązał się przy jakiejś okazji język, dzięki czemu wygadał się, że to on był autorem obu listów. — Chłopie, przecież ci wierszówka przepadła? — zdziwili się koledzy. — Co tam wierszówka. Grunt, że pokazałem jaka dyskusja może się rozpętać wokół m o j e g o artykułu.

Historia ta przypomina mi się zawsze, kiedy czytam w niektórych czasopismach rubryki zatytułowane LISTY DO REDAKCJI. Odnoszę często wrażenie, że wiele z zamieszczanych w tej rubryce utworów epistolograficznych powstaje w samej redakcji.

Rozumiem, że jest wiele okazji, a nawet potrzeb, zmuszających do przymusowego wypełniania tej rubryki. Potrzebne są przede wszystkim listy do redakcji. Więc się je produkuje i podpisuje zwykłymi nazwiskami, aby się czytelnik nie spostrzegł, że rzecz jest wymyślona i deta. Nie jest to grzech, można i w ten sposób uprawiać dziennikarstwo. Ale zdarzają się wypadki, które budzą pewne wątpliwości.

Oto w czołowym tygodniku pojawia się krytyczny, ale krzywdzący kogoś artykuł. Albo któryś z recenzentów nie obejrzawszy programu telewizyjnego wymiata ocenę, która nie ma nic wspólnego z prawdą. Poruszenie, oburzenie, do redakcji płyną protesty, polemiki wyjaśnienia. I oto w rubryce LISTY DO REDAKCJI zjawiają się najpierw głosy popierające autora. Zwykle podpisy, nazwy miast, ale brak adresów. Potem dopiero dopuszcza się kilka krytycznych listów, a i te przetyka się gęsto pochwałami pisma i jego publicysty. Rzecz cała pachnie przysłowiowym pasztetem: pół konia we własnej obronie i pół zająca reprezentującego głos opinii publicznej.

Przyznam się, że niektóre listy czytam z zażenowaniem. Mój znajomy, Iksiński, produkował głosy p r z e c i w sobie, dla sztuki, bezinteresownie. Niektóre listy, publikowane w niektórych rubrykach sprawiają wręcz odwrotne wrażenie.

Czytelnicy mają prawo skorzystania ze zwyczaju, który pozwala opublikować ich wypowiedź z zachowaniem nazwiska autora listu i jego adresu do wiadomości tylko redakcji. Ale zwyczaj ten nie powinien dotyczyć tych listów, które popierają stanowisko poszczególnych autorów pisma, lub w ogóle redakcji. Jeśli ktoś, kto występuje krytycznie przeciw jakiemuś sądowi ma odwagę ujawnić swoje nazwisko i adres, dlaczego nie ma tego robić ten, kto przecież nic publicznie nie ryzykuje popierając jakiegoś sławnego publicystę.

Myślę, że nasze życie publiczne skorzysta na tym, jeśli pod listami wyrażającymi zachwyt dla stanowiska naszych koryfeuszy pióra, czy niektórych poczytnych tygodników widniał będzie czytelny podpis i dokładny adres.

BAR

(nazwisko i adres znane redakcji)

Rys. W. Fuglewicz

Rys. A. Stok

Dałem im ciężki orzech do zgryzienia, szefie
Rys. L. Szalecki

MINUTA MYŚLENIA

Kto umarł?

NIE liczę wierszy (utworów) w antologiach, by sprawdzić, jakiemu autorowi poświęca się więcej uwagi. Nie liczę też wierszy (linijek druku) we wspomnieniach. Jednakże Witolda Zechentera „Grudzień w żałobie" („Życie Literackie", 22.XII.1968) skłonił mnie do wyjątku. Policzyłem, by przeliczyć proporcje znaczenia przyznanego dwum poetom na walor sprawdzalnych danych. Otóż Tuwim u Zechentera zasłużył na 297 linijek, Gałczyński — na 120. Zepchnięty do ostatniej szpalty Gałczyński ledwo się przy Tuwimie zmieścił.

Rozumiem specyfikę wspomnienia: po prostu Zechenter częściej się kontaktował z Tuwimem, niż z Gałczyńskim i stąd nierównomierność w obsypaniu pamięci obu banalnymi zresztą szczegółami, o co nie warto byłoby kruszyć kopii. Ale kiedy rzecz ukazuje się w piętnastą rocznicę śmierci poetów, ta miarka okazuje się co najmniej skrzywieniem. Gałczyński zaprezentowany jest tak, jak by miał prawo wejść na pokoje literatury gdzieś w drugim, trzecim rzucie, za plecami pierwszorzędnych wielkości.

Jeszcze zabawniejsza (komizm mimowoli) jest treść wspomnienia o Gałczyńskim. Otóż wspomina Zechenter, że umieścił kiedyś w „Szpilkach" wiersz „Różne mnie męczą pytania" i tym tytułem Gałczyński zwracał się do Zechentera („a pewnie nie tylko" supponuje Zechenter;? — przyp. mój) ilekroć przyszło im się spotkać. Dodaje też nie widząc w tym cienkiej, aczkolwiek zawsze dobrodusznej ironii Gałczyńskiego, że pytanie było „zazwyczaj z dziedziny absurdu". Nie skojarzył sobie jednego z drugim, natomiast zdaje się tkwić w pełni przekonania, że Gałczyński, ten bengalski ogień paradoksów, uległ zafascynowaniu Zechenterowskim powiedzonkiem i klepał je z dziecinną naiwnością.

Wspomina też Zechenter o pewnym zbiorowym wieczorze autorskim, na którym sam czytał parodię Gałczyńskiego „Skumbrii w tomacie". Trzeba pamiętać lata trzydzieste by wiedzieć, jak celnym rytmem „Skumbrie" trafiły w nerw ówczesnej społecznej i politycznej rzeczywistości, jak odkrywczo absurdalny motyw uruchomiły na rzecz arcyczytelnej satyry. Świadczy o tym cały tren pastiszów, naśladownictw, modyfikacji, a przede wszystkim rzeczywista, niebanalna popularność utworu. Zechenter w tym szeregu postanowił wyjść przed oryginał zagarniając na swój użytek całą, przez Gałczyńskiego osiągniętą, chwytliwość rytmu, by skierować ją przeciw... Gałczyńskiemu. W ułożonej, a właściwie włożonej w rytm „Skumbrii" Zechenterowskiej parodii istnieje pewna trawestacja, która brzmi: „Chcieliście wieszcza — oto go macie". No i w refrenie „Listy z fiołkiem" oraz „Zielona gęś". Po tym zabiegu Zechenter zgarnął satysfakcję publiczności, która „śmiała się, biła brawo", nie oddzielił zaś w tym uznania dla sprawności samego narzędzia, które skonstruował przecież nie kto inny, lecz właśnie autor parodiowanego wiersza.

Ale w swym mimowolnym masochizmie Zechenter idzie dalej. Przedstawia mianowicie reakcję Gałczyńskiego. Otóż Gałczyński „jakoś smutnie pokiwał głową i popatrzył na mnie jakby z wyrzutem". Oczywiście w rozumieniu Zechentera poczuł się zdruzgotany ciosem Zechenterowskiej „viris comicae", żaden inny powód nie wchodzi w grę. Pogratulować samopoczucia. Trzeba było nie znać Gałczyńskiego, by to pokiwanie przyjąć w najprostszej, narzucającej się wykładni Zechentera. Autor „Skumbrii" umiał operować całą gamą podtekstów również w geście, czego nie wydobył, w co raczej wpadł autor wspomnienia.

Powiedziałby kto, że nie znam przywilejów, praw i konwencji parodii. Jej perskiego oka. Ale przecież i jej wesołość jest tylko wtedy uzasadniona, naturalną wesołością, kiedy mimo wszystko wychodzi z pozycji trafnej oceny proporcji, kiedy ma sojusznika w adekwatnym widzeniu rzeczy. Śmiałbym się i ja do rozpuku, gdyby Gałczyński miał jakieś ciągoty wieszcze, jakich notabene nie brakuje wielu dzisiejszym zecerom od metafor, ale ponieważ nie miał, więc parodia — ów popisowy numer Zechentera — doznaje zakwestionowania nawet w swym wyłącznie humorystycznym, pozasatyrycznym wymiarze. Czy i nie to tkwiło w „smutku" Gałczyńskiego? Poza tym dziwne mi się wydaje pośmiertne wspomnienie, w którym osoba wspominającego choć na centymetr wysterczą ponad należną jej rolę relacjonującego medium, a aspiruje do pozycji współpartnerstwa. Ostatecznie kto umarł?

I znowu muszę się zastrzec. Nie sądzę, że przy okazji, jak niniejsza — nic, tylko sam brąz. Ale przecież i fotografia może skłamać, jeśli zdjęcie nie zostanie wykonane z zachowaniem wymagań światła, odległości, kąta. Inaczej nawet „Portretu muzy" się nie zobaczy.

Ijon

BIG-BEAT

Wujek Henio kręci film

PANIE Redaktorze! Przyszedłem do domu; na stole stał wujek Henio. — Wujku — powiedziałem nieśmiało — może już dosyć tego podtrzymywania głową sufitu? Wujek przecząco pokiwał głową i na podłogę spadł kawałek tynku. — Nowe budownictwo, psiakrew — zakląłem. Wujek przytaknął i... stało się. Żyjemy jednak. Straż ogniowa wyciągnęła nas z gruzów i fedorowiczów.

Przyszedłem wieczorem do domu; na stole stał wujek Henio. — Wujku — powiedziałem z wyrzutem — czy wujek zawsze musi po nocy czyścić klatkę lwa? Nie można budzić zwierzęcia! — On i tak nie śpi — odparł wujek. — Czeka na rozpoczęcie kolejnego programu. „Małżeństwo doskonałe" w telewizji.

Przyszedłem wieczorem do domu; na stale stał wujek Henio. Przyjrzałem się dokładnie. To wcale nie był mój wujek, tylko wujek pana Fedorowicza. — Co pan tu robi? — zapytałem zgorszony. — Pss! Kręcę potajemnie film z nocnego życia pająków. Zapaliłem światło. W sieci huśtał się pan Gruza.

O „Małżeństwie doskonałym" napomknął kiedyś złośliwie pan BAR w swoim felietonie, „Polityka" w 52 n-rze z ub. r. zamieściła na pierwszej stronie wywiad p. K. Nastulanki z p. J. Fedorowiczem. Wywiadodawca (mój piękny nowotwór językowy) mówi do wywiadobiorczyni (jak wyżej): „Powiem pani w zaufaniu, że niezmiernie rzadko mi się zdarza, żebym wiedział coś z absolutną pewnością". Ja też nie wiedziałem dokładnie, jak to było z tym wujem Heniem. O tego wuja jednak pytał p. Fedorowicz ostatnio cztery pary małżeńskie (pardon — trzy małżeńskie i jedna narzeczeńska). Pierwsza i trzecia plotły takie bzdury, że mój lew to prawdziwy rarytas. Czwarta para też by nie wybrnęła, bo mini-asta małżonka zagaiła coś o otwarciu okna, ale małżonek wytrząsnął z brody przeciąg i wiatr porwał wujka na drinka. To z kolei porwało salę i głosowanie było niemal jednomyślne.

Aha — obserwowaliśmy jeszcze oprawianie choinki, dowiedzieliśmy się, że wszystkie małżonki i jedna narzeczona zamykają przy pocałunku oczy, słuchaliśmy (słuchalibyśmy chętnie dłużej) wierszy Załuckiego, widzieliśmy, jak można tańczyć na telewizorach (warto ów „parkiet" polecić właścicielom małych mieszkań), poznaliśmy wreszcie gust owych małżonek (i jednej narzeczonej), które miały możność dokonać wyboru panów (narzeczona może jeszcze chyba zmienić partnera).

Śpiewał też Szczepanik, wszyscy mogli więc przekonać się naocznie, że nie został za Oceanem. Więcej nie pamiętam, można by więc uważać temat za odfajkowany, gdyby nie ta kamera i ta (te) stuzłotówka pod kołami samochodów. Tu kończy się zabawa a zaczyna się zwykła granda.

Sto złotych to pieniądz niby niewielki, ale przeciętny Polak nie zarabia stuzłotówki w ciągu jednego dnia roboczego. Jeśli więc ujrzy czerwony banknot leżący na ziemi, w zasadzie nie przejdzie obok niego obojętnie. Tutaj rzecz została utrudniona: banknot znajdował się pod kołem samochodu. Niektórzy przechodnie rezygnowali więc po pierwszej próbie wyciągnięcia stuzłotówki, inni byli bardziej uparci, szukali pomocy, praca kolektywna dawała lepsze rezultaty. Biedacy nie wiedzieli jednak, że każdy ich ruch śledzi ukryta kamera, nie spodziewali się, że staną się pośmiewiskiem całej Polski.

Lubię się zabawić, ale nie lubię się zabawiać cudzym kosztem. Bardzo bym się jednak ucieszył, gdyby któryś z owych aktorów mimowoli wytoczył (i wygrał go!) proces sądowy autorom niesmacznego pomysłu. Bo nie wiem, co panowie Gruza i Fedorowicz wymyślą w kolejnym programie. Na wszelki wypadek radzę zasłaniać okna.

A jak kiedyś wieczorem przyjdę do domu i zastanę wuja Henia stojącego na stole, zadzwonię po milicję. Bo ja nie mam wuja Henia. Bo ja w ogóle nie mam wuja...

Jacek

Odpowiedzi redakcji

J. F. w Kielcach. Zdecydowaliśmy się wobec Pana na gest, który przychodzi nam zazwyczaj z trudem — wobec nawału różnorakiej korespondencji i masy mniej lub więcej udanych prób literackich. Otóż prosimy Pana o przesłanie dalszego wyboru opowiadań. Pewne rzeczy bowiem wydają nam się w Pańskich tekstach interesujące. Parę uwag: poza „Artystami" dwa następne opowiadania mają dobre pomysły (szczególnie „Chuligani") dowcipnie ujęte. Niepotrzebny ten przydługi wstęp „historyczny" w „Chuliganach". Oba teksty to typ zupełnie udanej groteskowo-satyrycznej opowiastki, bardziej ku rozweseleniu niż ku głębszej refleksji pisanej. Pomysł „Artystów" natomiast — stary jak świat. Podoba nam się tylko zwarty i oszczędny tryb narracji... w akapicie pierwszym. Radzimy próbować bardziej serio i w tym trybie. Nie musi też Pan wszędzie zaznaczać, iż narrator jest geologiem.

J. R. w Białymstoku. Nie jest może zupełnie źle z Panem, ale trzeba się wyzbyć banalnych podtekstów myślowych, które zresztą prowadzą do takich samych metafor. Na dobrą sprawę tylko „Wyleciały ptaki" można by... próbować akceptować. Dużo pracy przed Panem i trudno nam już teraz stwierdzić, czy ona się rzeczywiście opłaci. Jeśli za dwa lata otrzyma Pan podobną odpowiedź, to znaczy, że trzeba przestać pisać.

W. R. B. w Warszawie. Kto jest studentem filologii słowiańskiej UW i w dodatku posiada tak przepiękną pieczątkę, jaką nie może się poszczycić niejedna poważna instytucja, powinien absolutnie wiedzieć, że do redakcji nie przesyła się wielce nieczytelnych rękopisów i do tego w kopii. Na to może sobie pozwolić tylko wielki poeta, ale ten najczęściej będzie bardzo skromny i przyśle pierwszy egzemplarz maszynopisu. W tym kontekście darowaliśmy sobie odcyfrowywanie Pańskich wierszyków. Z poważaniem pozostaje „Kamena" w Polsce — Poland.

Artur K. w Gorlicach. Proszę Pana! Pan nas przeraża. Ta „żrąca gorycz godzin", to „mętne ryżowisko", ta „krew i furia"! W dzisiejszym rozdartym sprzecznościami świecie wolelibyśmy coś bardziej spokojnego. A i Pan się lepiej czuje w nieco intymniejszych i stonowanych wyznaniach („W Gorlickim").

A. G. w Ostrowie Wlkp. Zasadniczo nie powinniśmy odpowiadać komuś, kto nadsyła jeden wiersz bez bardziej wyczerpującej informacji o sobie, a wszystko razem w rękopisie. Ale „dłonie dziewczyny" wydały nam się całkiem udane, choć bez spełnienia pewnych warunków drukować utworu nie możemy. Łatwo się Pan domyśli, jakie to warunki, bo nieco o nich powyżej.

J. P. K. w Podgórskiej Woli. Na razie nie chcemy Pana ani pocieszać w poetyckim trudzie, ani zniechęcać. Na pierwsze — za mało udanych okruchów poezji w żużlu nieporadności i naiwności, na drugie — okruchów owych za dużo. Ponieważ już Pan wiele czyta, a jako przyszły polonista, czego szczerze życzymy, będzie Pan czytał jeszcze więcej, a także pilnie studiował poezję na literackich seminariach, więc radzimy po solidnej dawce lektur zasiąść jeszcze raz do twórczości i coś nam nadesłać. To nie znaczy, iż namawiamy Pana do wtórności czy zapożyczeń.

J. S. w Lublinie. Nie podoba nam się „nieodgadniona pytia", „nicość przeznaczenia", „poranek oczu", „niedojrzałe usta", „szara rzeczywistość" no i „człowiek bez cienia", którego to człowieka trzeba „nakarmić dać parę groszy i (któremu) wskazać drogę". Albo Pan banalny, albo krańcowo udziwniony. Takie „perełki" gubią najlepsze teksty. Brak Panu czegoś, co można by nazwać taktem w poezji. W „najgłębsze przeżycia" nie wątpimy.

A. K. w Warszawie. Jest Pan jednym z wielu autorów, którzy twierdzą, iż swoje teksty przysłali do redakcji siłą niemal zmuszeni przez kolegów, mamusie, babcie, teściowe... Tak się dziwnie składa, że najczęściej są to utwory nieporadne, nudne, naiwne etc. Nie chcemy Pana martwić, ale wiersze nadesłane niewiele od tego schematu odbiegają. Nie wierzymy też w ową przemoc przy wysyłaniu tekstów. Jest Pan młodym i dzielnym żołnierzem, więc sądzimy, iż mężnie zniesie Pan tych gorzkich słów kilkoro.

NOTY i notki

JAKIEŚ PRZERAŹLIWE, przedpotopowe zwierzęta-olbrzymy pojawiły się na Lubelszczyźnie, które „Kurier Lubelski" (nr 3) skromnie nazywa dzikami: „Myśliwi województwa lubelskiego upolowali w bieżącym sezonie ponad 100 sztuk dzików, dostarczając państwu 6 tys. ton mięsa". Wynika z tego, że każdy rzekomy dzik ważył — nie licząc wnętrzności i skóry — 60 ton.

W ZAWSZE GOŚCINNEJ i zawsze bezpłatnie użyczanej sali lubelskiego MPiK odbyła się ogólnopolska wystawa fotografii turystycznej i krajoznawczej. Organizatorzy chcieli ją najpierw urządzić w nowej hali sportowej, jako że turystyka, krajoznawstwo i sport to dziedziny pokrewne. Ale administracja hali zażądała od fotografików żywą gotówką 60 tys. zł. Tak to władze od sportu i turystyki popierają turystykę.

W ŚLAD ZA NASZYM kochanym PAP-em niemal cała prasa doniosła, że na Górnym Śląsku odbędzie się pierwsza w Polsce olimpiada „skrzydlatych listonoszy" czyli gołębi pocztowych. O ile wiemy, Min. Poczt i Telegrafów nie zatrudnia na etacie ani jednego takiego gołębia. A szkoda. Może nie otrzymywałbym listu z Poznania 8 dni po jego nadaniu.

PODOBNO BEZ STATYSTYKI żyć nie można, ale wierzyć jej też nie wolno. Oto np. w „Roczniku statystycznym finansów" przeczytałem, że wśród obywateli naszego kraju krąży 300 milionów sztuk jednogroszówek — na każdego wypada przeciętnie 9 sztuk. Osobiście nie widziałem ani jednej od przynajmniej roku.

Z LOKALNO-PATRIOTYCZNYM zadowoleniem czytałem przychylną recenzję Romana Szydłowskiego w „Trybunie Ludu" (nr 4) o lubelskiem przedstawieniu „Kleopatry i Cezara". Nie rozumiem tylko, jakim cudem Szydłowski zobaczył, że Adela Zgrzyblowska ma zielone oczy i jakim cudem doszedł do wniosku, że to „było coś bardzo egipskiego". No i nie wiem, czy reżyser K. Braun takie zdanie będzie uważał za pochwałę czy naganę: „Niejedno „zlepszył", sporo „uskąpił", całość „domocnił"... A może najlepiej „domocnić" język polski?

MAMY W POLSCE 6 tysięcy plastyków, zrzeszonych w swoim związku. Teoretycznie wszystkie ich dochody są rejestrowane — w roku 1967 wyniosły one 294 mln zł. Przeciętnie na jednego wypadło więc 49 tys. zł rocznie, co nie jest sumą, pozwalającą na krezusowe życie. Ale dokładniejsze badania wykazały, że 2 tys. plastyków nie zarobiło ani grosza. Tak więc jedni zarabiali miesięcznie po 6.458,33 zł, a 2 tys. plastyków żyło tylko z umiłowania sztuki. Lub umiejętności lawirowania pomiędzy przepisami finansowo-podatkowymi.

WIGILIJNA PASTORAŁKA w telewizji „Hej kolęda deska" okazała się marnym komiksem. Niby miało być ludowo, a pastuszków ubrano w zagraniczne kożuszki, anielice w szałowe kozaczki i rekordowo długie rzęsy. Zabrakło tylko — z przeproszeniem — strip-teasu. Do czego daremnie zachęcały mini-spódniczki anielic. Ostatecznie może być i tak — ale nie nazywajmy tego pastorałką.

3 osoby zabite, 8 rannych

San wpadł na żubra

OTO DO JAKICH DZIWOLĄGÓW prowadzi upór reformatorów. Długo nas przekonywano, że nazwy samochodów trzeba pisać bez cudzysłowu i małą literą. No i zrodził się taki dramatyczny tytuł w „Życiu Warszawy" o zderzeniu dwóch samochodów pod Włocławkiem. A w pierwszej chwili wygląda na to, że San wystąpił z brzegów, zalał Puszczę Niepołomicką i że fala czołowa utopiła 3 drwali, zraniła 8 leśników i jednego żubra.

JOD

OSTATNIO PRZECZYTAŁEM „Wspominki nie zawsze frasobliwe" Jana Huszczy. Pisze on m. in. o prasie przedwojennej. Cytuje fragment: „Najwięcej kłopotów sprawiał zwykle zecerom i linotypistom recenzent teatralny. Recenzja z przedstawienia nie była z nikim uzgadniana i musiała się ukazać bezwzględnie nazajutrz po premierze (aby inne pisma nie wyprzedziły), przychodził więc recenzent, siadał przy biurku, wyłączał się z panującego we wszystkich pokojach hałasu, i pisał. Jeśli to trwało zbyt długo, sterczał nad nim linotypista, klnąc i strasząc recenzenta tym, że gazeta się nie ukaże". Dzisiaj lubelski recenzent teatralny nie ma takich kłopotów. Recenzja nie zając...

(j)